Rok III. **Lwów, dnia 1 września 1897.** **Nr. 17.**

PRZEGLĄD WSZECHPOLSKI

Dwutygodnik polityczny i społeczny.

Wychodzi 1 i 15 każdego miesiąca.

Redakcya i Administracya: Lwów, ul. Antoniego Małeckiego 3.

Redakcya i Administracya otwarta codziennie od godz. 3—4 po południu.

CAR W WARSZAWIE.

W chwili, gdy słowa te piszemy, Warszawa w gorączkowem upojeniu przygotowuje się do powitania uroczystego cara Mikołaja, ta sama Warszawa, która niegdyś jedna wśród powszechnego upodlenia tronów i narodów śmiało urągała mocy carskiej i zbrojną ręką sięgała po »koronę Kazimierzów i Chrobrych«, którą »ukradł i skrwawił syn Wasylowy«.

Nie ulega wątpliwości, że powitanie młodego cara będzie okazałem, może nawet, jak zapewniają ugodowcy, serdecznem, a w każdym razie przekraczającem zwykłą miarę wiernopoddańczych hołdów urzędowych. Każdemu piszącemu o tym wypadku nie tyle doniosłym, ile znamiennym dla dzisiejszego nastroju społeczeństwa w zaborze rosyjskim, mimowoli nasuwa się porównanie tej chwili z pamiętnem przyjęciem w Warszawie w 1856 r. Aleksandra II, przyjęciem, którego wspomnienie kojarzy się w umysłach naszych z następującą po niem epoką rozbudzenia nadziei i uczuć narodowych, z obrazami tragiczno-wspaniałych demonstracyi kościelnych i ulicznych i z krwawą katastrofą 1863 roku.

Porównanie wykazuje dużą różnicę, ale zarazem większe jeszcze podobieństwo tych dwóch chwil, podobieństwo zarówno w stosunku cara, rządu i narodu rosyjskiego do Polaków, jak i w usposobieniu społeczeństwa naszego.

Przedewszystkiem poucza nas to porównanie, że niewłaściwym, nieuzasadnionym jest cisnący się na usta wykrzyk bolesnego pesymizmu, powtarzający bezwiednie słowa poety-satyryka, że »bywały gorsze czasy, ale nie było podlejszych«. Przeciwnie, w dziejach naszych porozbiorowych bywały już nieraz podobne chwile, a nawet całe epoki samolubnego zaprzaństwa klas wyższych społeczeństwa, lekkomyślności powszechnej, podsycanej złudnemi rojeniami, zatraty zmysłu politycznego i poczucia godności narodowej.

I teraz, jak przed 40 laty, kiedy rzekomy »przyjaciel Mickiewicza« wzywał »duchy Jagiellonów« żeby z wysokości patrzyły, jak »dziedzic ich tronów, sławy i miłości« wchodzi »w progi naszych grodów« — widzimy w tem uroczystem powitaniu cara górującą nad wszystkiem właściwość usposobienia narodowego, nadmierne rozbujanie wyobraźni, poddającej się wrażeniom chwilowym, skłonność do uniesień gwałtownych, przesadnych, krzykliwych, ale powierzchownych i nietrwałych. Po za garstką polityków, urządzających to widowisko lojalne z pewną świadomością celu, ale pomimo swej powagi pozornej lekkomyślnych i ulegających łatwo złudzeniom swej wyobraźni, witają z zapałem cara nieodrodni synowie tych ludzi, którzy witali jego dziada naprzód okrzykami wiernopoddańczymi, a w kilka lat później groźnym pomrukiem »buntu« i wreszcie zuchwałem wyzwaniem »na bój, na krwawy, święty a prawy!«

I teraz, jak przed 40 laty, najhuczniej i najszczerzej powita cara »czoło narodu«, arystokracya i szlachta, która swój interes osobisty i klasowy utożsamia po dawnemu z interesem ogółu. Dzisiaj tylko silniej już, niż wówczas, czuje, i lepiej uświadamia sobie konieczność dla niej lojalnego współdziałania z rządem, szczerego pojednania się »króla z narodem i narodu z królem«. Lecz ten »naród« szlachecki nie ma obecnie ani takiego znaczenia społecznego, ani takiej powagi moralnej i umysłowej, jakie miał czterdzieści lat temu i jest tylko przedstawicielstwem od parady, dekoracyą tradycyjną wystąpień zbiorowych.

Z tej warstwy w znacznej części pochodząca inteligencya zawodowa i wspólnością interesu w sprawie pozyskania łaskawości rządu związane ze szlachtą wielkie i małe mieszczaństwo — weźmie również udział w manifestacyi wiernopoddańczej. Ale manifestacya bez tłumu obyć się nie może. Warszawa jest wielkiem miastem, więc i tłum się znajdzie -- ta gawiedź miejska, która przedewszystkiem o zabawie myśli, która ciekawą jest widowiska. Tysiące, dziesiątki tysięcy tej półinteligentnej gawiedzi drobno-mieszczańskiej, tej najgłupszej w każdem a więc i w naszem społeczeństwie warstwy ludności, wszelkiego rodzaju pracowników z biur rządowych i prywatnych, kantorów, warsztatów, typowych »członków towarzystw sportowych«, dumnych z tego, że i oni »politykę robią« — trzymać będą straż honorową i wiwatować na cześć cara. Ci—sami dobrze nie wiedzą, co czynią, ale bez nich nie obejdzie się żadna »heca« w wielkiem mieście, ci lubią pokazać się i krzyczeć przy każdej sposobności, a tymbardziej jeżeli nietylko ujdzie im to bezkarnie, ale jeszcze zasłużą sobie na uznanie zwierzchników i policyi. Zaznaczyć trzeba jednak, że z kilku tysięcy »członków towarzystw sportowych« tylko 400 zgłosiło się do udziału w »straży honorowej«.

Tak, na ulicach nie zabraknie »narodu«, gwarnie i wesoło witającego cara, bo doliczyć trzeba jeszcze, motłoch wielkomiejski, tłumy kobiet, bez różnicy stanowiska społecznego ciekawych widowiska, i tłumy żydowstwa, ciekawszego jeszcze i krzykliwego.

Nie przeceniając, ani nie zmiejszając umyślnie doniosłości tych manifestacyj wiernopoddańczych, liczyć się z niemi trzeba poważnie i spokojnie, brać pod uwagę wszystkie ich czynniki i z filozoficzną pobłażliwością uwzględnić i nikczemność i naiwność i ciekawość, właściwą naturze ludzkiej, a zwłaszcza naturze mieszkańców wielkiego miasta. Wszystko to już było i kończyło się inaczej, niż z góry sądzono. Niewątpliwie, ta orgia lojalności szerzy demoralizacyę polityczną, ale niemal wyłącznie w tych warstwach i grupach ludności, na które polityka narodowa nigdy nie rachowała i rachować nie może ze

względu na charakter i podkład społeczny swych dążeń.

Ale przecie nietylko z tych, którzy uroczyście witają cara, składa się społeczeństwo nasze. Jest wśród inteligencyi zastęp poważny »nieprzejednanych« lub takich, których łatwo przejednać nie można, a zastęp ten świeżo ekspert żandarmski na dziesięć tysięcy ludzi obliczył. Jest liczniejszy jeszcze zastęp proletaryatu robotniczego, którego przed 40 laty prawie nie było, wskutek warunków swego bytu wrogo przeciw rządowi usposobionego, w znacznej większości poruszonego agitacyą rewolucyjno-socyalistyczną. Jest wreszcie zwarta masa ludu wiejskiego, której myśli i uczuć nie znamy, której duszę zaledwie odgadujemy, mroczna i tajemnicza masa chłopska, jaką była przed 40 laty, ale dziś już więcej niż wówczas i narodowości swojej i praw swych i siły społecznej świadoma. Spłynie po niej bez wyrządzenia szkody demoralizacya polityczna, która w szeregach inteligencyi porobić może wyrwy, jak spłynęła celowo od lat trzydziestu prowadzona działalność rządu. Nie udało się rządowi przeciwstawić Polski chłopskiej Polsce historycznej, a czego nie dokonała przebiegle obmyślana i rozporządzająca całym arsenałem przeróżnych środków, na długie lata rozłożona propaganda ciągła, tego tymbardziej nie dokona manifestacya chwilowa i nie zjedna ludu, ani go nie znieprawi. Sam rząd zresztą, podniecając systematycznie waśń społeczną, niezmiernie utrudnił sobie zadanie. Chłop polski już dla tego nie pójdzie z rządem, że »panowie« z nim idą i jaśniej zrozumie tylko, że jeżeli dziś panowie muszą iść z rządem, to on powinien iść przeciw rządowi.

Demoralizacya lojalna uczucia narodowego polskiego nie znieprawi, ale w pojęciach politycznych klas inteligentnych wywołuje zamęt szkodliwy. Ta reakcya, która nastąpiła po r. 1863 w naszej polityce narodowej obok ujemnych, miała niewątpliwie dużo stron dodatnich. Odrzuciwszy to wszystko, co miało zabarwienie stronnicze, co trąciło reakcyą społeczną, ogół nasz inteligentny w tej epoce otrzeźwienia zdobył sobie spory zapas praktycznych prawd politycznych, zrozumiał konieczność prowadzenia polityki realnej, polityki stałych dążeń i interesów, niezależnej od nastrojów chwilowych, otrząsnął się z wielu złudzeń. I oto ci sami ludzie, którzy nas trzeźwości politycznej uczyć chcieli, przeniewierzają się swoim zasadom postępowania, podniecają uczucia, a raczej nerwy społeczeństwa, podsycają złudzenia, rozpalają wyobraźnię ogółu. Kiedy przed 10 laty, wobec przewidywanego wówczas starcia się Rosyi z Niemcami i Austryą podniesiono wątpliwość, czy nasz interes narodowy nakazuje nam istotnie solidarność z interesami politycznymi trójprzymierza, ci sami ludzie wyrażenie podobnej wątpliwości nazywali zdradą sprawy narodowej. Ci sami ludzie, którzy dziś urządzają manifestacye lojalne, dowodzili, że nie może być żadnego kompromisu między naszemi dążeniami narodowemi i polityką Rosyi, że interesy obu narodów są zasadniczo sobie przeciwne. I oto nagle interes narodowy polski wywija kozła i podobną czynność na komendę ugodowców wykonać ma cały ogół inteligentny, chociaż żadnej zmiany, tłómaczącej potrzebę tej karkołomnej ekwilibrystyki politycznej nie widzi.

Po takiej gwałtownej i energicznej akcyi ugodowej, po takiem sztucznem podnieceniu nerwów nastąpić musi reakcya. Nie obawiamy się dziś, że społeczeństwo się zdemoralizuje, ale obawiać się można, że się zanadto rozgrzeje. Ugodowcy powiadają, że społeczeństwo w ciężkiej próbie trzydziestoletniej dojrzało, ale cały przebieg akcyi ugodowej świadczy o tem tylko, że żyje ono nerwami, i że równie łatwo, jak niegdyś, ulega złudzeniom.

Prawda, że przed 40 laty nadzieje nasze i wymagania polityczne szły dalej niż dziś, że obecnie zadowolnilibyśmy się tem, co ojcowie nasi odrzucali, że poprzestalibyśmy na mniejszych ustępstwach. Ale stosunek domiędzy naszemi wymaganiami a możliwemi ze strony rządu i społeczeństwa rosyjskiego ustępstwami pozostał ten sam, bo rząd nie da i dobrowolnie nie może nawet dać nam tego, co uważamy za *minimum* naszych potrzeb narodowych. Program »stronnictwa umiarkowanego« zamyka się, zdaniem *Kraju*, »w następujących granicach«:

»Uznanie odrębności narodowej, etnograficznej i kulturnej i wynikających ztąd konsekwencyj, zrównanie praw Polaków z prawami wszystkich poddanych państwa, przyznanie Królestwu tych instytucyj, z których korzystają gubernie wewnętrzne; z naszej zaś strony: lojalność wobec Monarchy i rządu, szczere poczucie się do jedności państwowej i sumienne pełnienie obowiązków państwowych«.

Nie jest to właściwie program, ale spis żądań i przyrzeczeń, bardzo ogólnikowo określonych. »Konsekwencyą, wynikającą z uznania odrębności narodowej, kulturnej i etnograficznej« jest przedewszystkiem odrębność instytucyi rządowych i wogóle publicznych, zastosowana do potrzeb i warunków miejscowych i poziomu naszego uspołecznienia, dalej zaprowadzenie języka polskiego w administracyi, sądownictwie i szkole i to nietylko w Królestwie, ale w pewnej mierze i w kraju zabranym; dalej, zupełne równouprawnienie katolicyzmu z prawosławiem i wogóle wolność religijna i t. d.

Są to rzeczywiście żądania stronnictwa umiarkowanego, które, komentowane nie tak, jak to *Kraj* czyni, ale jak logika wymaga i jak rzeczywistość je potwierdza, zawierają przyznanie Królestwu i wogóle ludności polskiej w państwie rosyjskiem pewnej autonomii, uświęcenie prawno-polityczne naszej odrębności. W gruncie rzeczy nie zbyt dalej szły żądania »stronnictwa umiarkowanego« przed rokiem 1863, ale ogół wtedy żądał i teraz żąda trochę więcej, a rząd rosyjski i wtedy nie chciał się zgodzić dobrowolnie na ustępstwa konieczne i teraz tymbardziej się nie zgodzi. Aleksander II powiedział w r. 1856 Polakom, że »szczęście ich polega na zupełnem zlaniu się z Rosyą«, a Mikołaj II to samo tylko mógłby powtórzyć. Nie trzeba zapominać, że te ustępstwa, które otrzymaliśmy przed r. 1863, w czasie rządów Wielopolskiego i wcześniej, były wywalczone, że naród sam je zdobył. że rząd zgadzał się na nie jedynie dla zażegnania coraz bardziej wzrastającego niebezpieczeństwa wybuchu zbrojnego powstania.

Ugodowcy, jeżeli są istotnie szczerymi, łudzą się, sądząc, że aspiracye większości społeczeństwa nie przekraczają zakresu tego programu »stronnictwa umiarkowanego«. Aspiracye polityczne tej większości nie są może ściśle określone, ale sięgają znacznie dalej, właściwie nie mają, bo nie mogą mieć stałych granic. Rozumiemy dziś tylko, że polityka w swych zadaniach praktycznych zbyt daleko w przyszłość sięgać nie powinna i że nie można wszystkiego uzyskać od razu, nawet wtedy, kiedy okoliczności pomyślnie się składają. Większość umiarkowana społeczeństwa różni się dziś od tej, która była przed 40 laty tem jedynie, że gotowa jest, za wszystko co bierze i co się jej należy,

w miarę możności płacić, ale i ona z niczego ostatecznie nie kwituje i żadnych zobowiązań na przyszłość wystawiać nie chce.

Mylnem, a nawet zazwyczaj świadomie kłamliwem jest zapewnienie, że większość społeczeństwa, lub chociażby ci wszyscy tylko, którzy są w danej chwili zwolennikami polityki ugodowej i w niej nadzieję lepszej przyszłości pokładają, chcą ograniczyć swe aspiracye narodowe skromnym programem »stronnictwa umiarkowanego«. Społeczeństwo nasze ma te same dążenia i ideały, jakie miało przed 40 laty i innych mieć nie może dopóki zachowuje poczucie swej odrębności narodowej. Zmieniać się muszą i przystosowywać do warunków zadania realne, zadania polityki bieżącej metody działania, ale nie dążenia i interesy przyrodzone narodu. Jeżeli przed 40 laty odzyskanie chociażby względnej niezależności politycznej, zdobycie autonomii narodowej wydawało się społeczeństwu naszemu możliwem w danej chwili, to dzisiaj ta tylko zachodzi w pojęciach różnica, że większość społeczeństwa odkłada urzeczywistnienie tych postulatów do dalszej przyszłości. Polityka ugodowa dla tego właśnie zyskała wielu zwolenników, że ją uważają za najpewniejszą i najrozumniejszą w danych warunkach metodę działania dla urzeczywistnienia stopniowego swoich aspiracyj. Między tymi nawet, co ochrypną od wiwatów na cześć cara, sporo znajdzie się takich, którzy święcie wierzą, że w ten sposób najpewniej i najprędzej zbliżają się do ideału niepodległej Polski.

Kierownicy polityki ugodowej i jej publicyści z *Kraju*, *Czasu*, *Słowa* i t. d. takich marzeń i nadziej nielojalnych zapewne nie żywią, ale ogół wyznawców tej polityki niewątpliwie tak rozumuje i czuje, jak zaznaczyliśmy wyżej, tymbardziej, że tak mu nieraz charakter tej polityki przedstawiano umyślnie, dla zjednania jej popularności.

I dla tego właśnie, że ten ogół się łudzi, że sam się okłamuje lub jest okłamywany i bałamucony, dla tego, że nie przeniewierzając się w głębi duszy ideałom i uczuciom narodowym, gra komedyę lojalności, sądząc, że w ten sposób służy najlepiej sprawie polskiej, reakcya, która z konieczności nastąpić musi, może być bardzo dla nas niebezpieczną.

Używając wyrażenia »komedya lojalności« nie chcieliśmy powiedzić, że nastrój ugodowy pewnej części społeczeństwa polskiego jest udanym, nieszczerym. Owszem, ci ludzie są szczerze lojalnymi, ale są dla tego, że w ich przekonaniu okazywanie lojalności jest dziś najwłaściwszem służeniem sprawie narodowej, że wierzą ślepo w mądrość polityczną i patryotyzm tych, którzy im tę drogę postępowania zalecają. Nie mając ani zmysłu, ani tymbardziej wyrobienia politycznego, nie zdolni są ocenić, czy ta droga, którą im wskazano, jest odpowiednią, wierzą jednak, że ich doprowadzi do upragnionego celu i spodziewają się zmiany na lepsze stosunków istniejących już w blizkiej, bardzo blizkiej przyszłości.

Jeżeli dziś zatarły się niemal zupełnie wspomnienia autonomii konstytucyjnej, które ożywiały społeczeństwo polskie przed 40 laty i nie pozwalały mu »zastosować swej polityki do wymagań rzeczywistości« czyli, innemi słowy nie pozwalały mu wyrzec swych nadziei, skwitować z dążenia do odrębności narodowej, to podobne niebezpieczeństwo dla planów polityki ugodowej i obecnie istnieje. Istnieje Galicya, która bądź co bądź posiada samorząd narodowy i swobody polityczne, w której język polski jest językiem nietylko władz krajowych, ale i państwowych. Ten żywy przykład silniej oddziaływać musi na aspiracye polityczne społeczeństwa polskiego w zaborze rosyjskim, aniżeli oddziaływały na ojców naszych świeże wspomnienia stanu rzeczy przed rokiem 1830.

Nie usłyszymy dziś *point de rêveries*, bo nie mamy żadnych marzeń — zapewnia *Czas*. Może kierownicy polityki ugodowej wyrzekli się istotnie wszelkich marzeń, ale ogół dziś właśnie żyje niemi, oddaje się im bezwiednie, coraz mniej uzasadnionym.

Prędko jednak przeminie ten szał lojalności, wytrzeźwieją głowy, wrócą do równowagi wyobraźnie i rzeczywistość przypomni o swoich wymaganiach. Uczestnicy manifestacyi wiernopoddańczej znajdą się znowu w zwykłych warunkach swego życia i po chwilowej rekreacyi silniej odczują ich ciężar. Przeciwieństwo rozbujanych marzeń i surowej, pełnej zawodów bolesnych, upokorzeń i przykrych drobiazgów rzeczywistości wywołać musi w ich myślach i uczuciach reakcyę. Z koniecznością tej reakcyi nie liczą się kierownicy polityki ugodowej, bo nie liczą się wcale z właściwościami temperamentu narodowego i wogóle duszy zbiorowej. Im się zdaje, że ogół może, tak jak oni, dowolnie przystosowywać postępowanie swoje do zmiennych wymagań rzeczywistości, zastanawiać się nad każdym swym krokiem, oryentować się wśród wielce złożonej i różnorodnej kombinacyi warunków i wpływów politycznych. Nic tu nie pomogą spóźnione ostrzeżenia i nawoływania, zwłaszcza w dziennikach zakordonowych, których ogół nie czyta — żeby nieoddawać się złudzeniom, miarkować pragnienia, hamować wrażliwość nerwową.

Wyznajemy otwarcie, że więcej obawiamy się następstw tej nieuniknionej reakcyi, niż szkód, jakie wyrządzić może zniepravianie uczuć i zmysłu politycznego społeczeństwa manifestacyami wiernopoddańczemi i wogóle oddziaływaniem akcyi ugodowej. W ciągu trzydziestu lat po powstaniu ostatniem powoli, stopniowo dostrajała się nasza polityka narodowa do zmienionych radykalnie warunków naszego bytu, do pewnej przynajmniej jedności dążeń we wszystkich zaborach, do koniecznej równowagi sił i środków działania. Dla zapewnienia jednolitości i stałości pożądanej trzeba było nawet ograniczyć jej zadania, co było może sprawą najtrudniejszą. Polityka ugodowa tę równowagę naruszyła, wzburzyła i podnieciła społeczeństwo, zakłóciła normalny rozwój naszych dążeń narodowych, wywołała rozstrój nerwowy i rozbudziła złudzenia, zawsze szkodliwe, bez względu na ich charakter. Dziś społeczeństwo polskie w zaborze rosyjskim nie zdaje sobie sprawy ze swej położenia, nie panuje nad swojem postępowaniem, przerzuca się od złudzeń do zwątpienia, daje się unosić wrażeniom, słowem, nie jest zdolnem do planowego i zorganizowanej działalności politycznej. Polityka jego ugodowa, czy inna — może być tylko polityką nerwów, zmienną, kapryśną niepewną.

Ten rozstrój norwowy jest zawsze właściwością znamienną organizmów i organizacyj społecznych wyczerpanych, przeżytych, zwyrodniałych. Nie ostatni to zapewne jeszcze, ale jeden z ostatnich paroksyzmów nerwowych dogorywającej Polski szlacheckiej, jeden z ostatnich jej etapów po drodze »z Chrystusowej kalwaryi do moskiewskich kancelaryj«, z wyżyn przewodnictwa społecznego, opromienianego nieraz aureolą bohaterstwa i ofiarnej służby obywatelskiej—do poziomej i nikczemnej roli wiernych poddanych caratu, sojuszników obcej przemocy, związanych z nią ściśle wspólnością interesów.

Resztkami swego wpływu, spłowiałych tradycyj, obietnicą wspólnych zysków pociągnąć zdołała za sobą liczne zastępy gawiedzi politycznej, naiwnej i obałamuconej, z nałogu idącej za »przewodnikami« społeczeństwa. Ale to nie lud polski, nie naród polski. Ich liczba — 70.000, ta liczba, składająca z dobrej woli lub pod przymusem ofiary na fundacyę carską — to najwyższa miara ich siły, raczej ich słabości. Na pomnik Mickiewicza dało składki z górą 200.000 ludzi, a drugie tyle spóźniło się z ofiarami groszowemi, na fundacyę carską, pomimo zachęty i nalegania, zaledwie 70.000 składających ofiary naliczono.

Tę słabość stronnictwa ugodowego, które teraz przezwało się umiarkowanem, widzi rząd, widzi opinia rosyjska. Jeżeli mamy interes w pojednaniu się z Polską — pisze wpływowy jej organ — to jedynie z Polską ludową. Ale to pojednanie się z Polską ludową, a raczej tylko zjednanie jej sobie za drogo by rząd rosyjski kosztowało, tak drogo, że dobrowolnie nigdy się na to nie zgodzi.

Ta Polska, skupiona w sobie i milcząca, czeka spokojnie dalszego rozwoju wypadków, nie wyrzekając się ani nadziei swoich, bo ich ziszczenia jest pewną, ani praw jej należnych, bo zdobyć jej musi. Demokracya polska w ostatnich czasach nauczyła się rzeczy bardzo ważnej w polityce — umie czekać cierpliwie. Niechaj polityka ugodowa sama się skompromituje wobec społeczeństwa, niechaj rząd wyraźnie zaznaczy swoje zamiary, niechaj stosunek wzajemny wyjaśni się — wtedy dopiero mu zaczniemy swoją akcyę, a raczej rozwiniemy dawno już zaczętą.

SAMOPOMOC W POLITYCE EKONOMICZNEJ.

IV.

Samopomoc ekonomiczna nie jest ideą nową, nawet dla naszego społeczeństwa. Był nawet czas, w którym podnoszono ją do godności przewodniej zasady całego naszego życia narodowego, i w niej upatrywano lekarstwo na wszelkie niedomagania społeczne. Bo czemże innem był ów sławny program »pracy organicznej« jak nie zastosowaniem do wszelkich kwestyi i zagadnień przepisów samopomocy. Tylko, że samopomoc tę pojmowano zbyt ciasno, a zarazem zbyt szeroko. Zbyt ciasno — gdyż celem jej miały być interesy jednostek lub nielicznych grup ekonoicznych. Zbyt szeroko — gdyż w ramach jej chciano zamknąć całokształt naszego narodowego życia. Objektywnym skutkiem tego było obniżenie naszej świadomości narodowej, rozdrobnienie usiłowań, które, z charakteru swego, winne być zbiorowe, uznanie przez sfery posiadające, nie to już kapitał, lecz jaką taką zamożność, czy stanowisko społeczne, kwestyi osobistej karyery za sprawę pierwszorzędnej działalności ogólnej. Dziwnie brutalny egoizm. I wielu, szczególniej z pośród młodzieży, skłonnej do sądzenia przejawów zarówno zbiorowego, jak i jednostkowego życia przedewszystkiem wedle ich wartości moralnej, widząc takie obniżenie się etyki narodowej, wpada w pesymizm, wątpi o przyszłości, traci wiarę w możność skutecznej pracy nad odrodzeniem narodowem. Pesymizm ten głębszym i ogólniejszym jest, niż by się to pozornie zdawać mogło — i często tak gorączkowa praca jak i energiczny protest kryją go w swem łonie. Objaw to stosunkowo świeżej daty. Ale bo też w ostatnich dopiero czasach dojrzało ziarno rzucone przed laty 30 na wzruszoną klęskami ostatniego powstania glebę kraju naszego.

Hasła i teorye »pracy organicznej« rozsiewały się wciąż wśród społeczeństwa, przenikały do mózgów i dusz ludzkich, stawały się powoli filozofią codzienną, życiową warstw mniej lub więcej wykształconych. Wielu z inicyatorów tego kierunku cofnęło się lub weszło na nowe tory, inni, nie wyrzekając się jawnie sztandaru, pod którym służyli w młodości, schowali go do domowego sanktuaryum, czasami tylko wydobywając na świat boży w celu przypomnienia ogółowi starych swych zasług. Wogóle zaś unikają starannie wszelkich kwestyi programowych, godzą się na wszystkie zdania, popierają wszelkie dążenia, byle żywotne, a na dobie. Poważniejsza publicystyka przeszła nad całą sprawą pracy organicznej do porządku dziennego, krytycy zaliczyli jej programy do historyi naszej literatury, a wszystkie samodzielnie myślące sfery głęboko były przekonane, że »praca organiczna« to hasło przebrzmiałe »ein überwundener Standpunkt« jak powiadają Niemcy. Lecz przebrzmiało ono jedynie wśród reprezentantów opinii. Opinia zaś sama, nie nazywając go po imieniu, mając nawet samą nazwę w ohydzie, przyjęła je za wytyczną swych sądów.

Zwykły to zresztą los teoryi ogólnych, łączących w sobie filozofię z etyką, z socyologią i z polityką. Nasamprzód pojawiają się one w literaturze i nauce, walcząc z ideałami przeszłości orężem argumentów naukowych; zastraszony przeciwnik, nie przyzwyczajony do tego rodzaju »uczonej« dyskusyi, cofa się, chroniąc się do zacisza życia prywatnego. I nowe ideały panują niepodzielnie na arenie publicznej myśli, aż staną się z kolei przedmiotem krytyki, i po pewnym czasie, jako jednostronne, niedostateczne, »nienaukowe« zrzec się muszą honoru »ostatniego wyrazu« myśli ludzkiej. I ustępują z placu, lecz wtedy właśnie, nie apoteozowane i nie krytykowane wnikają w szare masy i ich dogmatem się stają.

Czemu tak jest? nie tu miejsce się zastanawiać. Historya to ogólna, los wspólny wszelkich teoryi tego rodzaju, był on udziałem idealizmu niemieckiego w pierwszej połowie bieżącego stulecia, materyalizmu Büchnera, pozytywizmu Comte'a, a i nasz rodzimy wytwór »praca organiczna« nie stanowi pod tym względem wyjątku. Od pewnego czasu przyjętem jest u nas mówić o »pracy organicznej« jako o wytworze naradzającego się, po 63 roku, kapitalizmu. Zdanie to nie jest absolutnie fałszywe, lecz i zupełnie prawdziwem nazwać go nie można. Nie jesteśmy bowiem jeszcze w ścisłem tego słowa znaczeniu krajem przemysłowym; burżoazya nie-polska przeważnie, nie mająca żadnej niemal łączności z resztą społeczeństwa, nie nadaje tonu narodowemu życiu. Słuszniejszem wydaje mi się szukanie genezy »pozytywizmu« w bankructwie dawnej naszej myśli politycznej, która wszystkie swe rachuby opierała jedynie na bezpośrednich kombinacyach dyplomatycznych lub wojskowych i liczyła się tylko z *danym* stanem społeczeństwa i z panującymi w *danej* chwili prądami polityki międzynarodowej.

Polityka nasza, do 63 r. włącznie, trzymała się wiernie tradycyi przeszłego wieku. Gdy państwa zachodu starały się wszelkiemi możliwemi środkami o rozwój sił narodowych, widząc w nim jedyną rękojmię swej państwowej potęgi, gdy usiłowały zespolić swe interesy polityczne z naturalnemi tendencyami społeczeństwa, tak, by w świadomości ogółu pierwsze wynikały

z ostatnich, my przemyśliwaliśmy nad tem: jakby to nagle, w chwili wybuchu, poruszyć masy, obojętne dla spraw narodowych, kto zaś w to raptowne przebudzenie się nie wierzył, ten szukał zbawienia w dyplomacyi.

Wobec tego, mimo wysiłków bohaterskich, musieliśmy ponieść porażkę i w 31 i w 63 roku. Ostatnia ta przegrana wykazała naocznie bezsilność całej naszej porozbiorowej polityki, zarówno arystokratycznej, jak i demokratycznej, zarówno dyplomacyi, jak i powstań spiskiem przygotowanych, zarówno rachub na interwencyę Francyi, jak i nadziei na podniesienie się ludu, obdarzonego wolnością przez rząd, walczący o to, by być rządem. Stąd reakcya na całej linii: wyrzeczenie się wszelkiej polityki, natomiast praca u podstaw. W tem »natomiast« w przeciwstawieniu polityce działalności społecznej leżał kardynalny błąd, błąd psychologicznie konieczny, przygotowany całą naszą poprzednią historyą — niemniej przeto zgubny. »Praca organiczna« bez dyrektywy, jakiej jedynie dostarczyć jej mogła myśl o przyszłości narodu, tem samem nie mogła być ani organiczną, ani narodową, stała się dezorganizacyjną, jednostkową. To też nie stworzyła ona nigdy nic pozytywnego, nie powołała do życia żadnej zgoła pracy. Zrodzona przez bankructwo, pozostała ona zawsze jego synonimem. Gdy więc inteligencya nasza poczęła się otrząsać z przygnębienia, w jakie ją klęski ostatniego powstania pogrążyły, i hasła »pracy organicznej« poczęły dla niej tracić swój urok. Z dawnych ich wyznawców pozostała im wierną jedynie wielka burżoazya — lecz nie dlatego, że odpowiadały one interesom naszego przemysłu — lecz ponieważ burżoazya ta, przeważnie nie polska, obojętną jest dla interesów gospodarczych narodu. Ciż sami ludzie, którzy w swej właściwej ojczyźnie parli naród do wojny z Francyą, bo wojna ta obiecywała im odbudowanie cesarstwa niemieckiego — u nas przyklaskiwali objawom rezygnacyi z dążeń politycznych. I poparcie, jakiem darzyli oni pozytywistów warszawskich, miało jedynie za rezultat uznanie programu tychże za wyraz klasowych dążeń i interesów burżoazyi.

Nie zapewniło mu ono żywotności, natomiast zapewniły ją negatywne skutki rozwoju kapitalizmu i wzrastającego ucisku rządowego. Bankructwo szlachty, tracącej wraz z majątkiem i znaczenie społeczne — bankructwo mieszczaństwa — bankructwo nadziei przyszłości, młodzieży inteligentnej, dla której większość zawodów zamknięta, stworzyły nowy grunt, doskonale przysposobiony do tego, by teorye i zasady »pracy organicznej« bujny plon na nim wydały.

Zbankrutowany ten ogół powtarzał w dalszym ciągu patryotyczne frazesy, lecz w głębi serca największy czuł szacunek dla rzeczy »pozytywnych« — a słowa »pozytywizm«, »pozytywny« specyalne mają u nas znaczenie.

Cóż więc dziwnego, że gdy znalazła się garść inicyatorów, wskazujących drogę, wiodącą do szerszego pola działania, szersze widnokręgi »pozytywnej pracy« obiecująca, mówiąc po prostu, możność łatwiejszej karyery, zmniejszenie szykan i podatków, równomierne z resztą poddanych rosyjskiego państwa traktowanie, jednem słowem lżejszą walkę o chleb powszedni, w zamian za lojalność i szczere przyznanie status quo,—ci wszyscy bankruci tłumnie się rzucili na nowe tory. Dziwić by się raczej można, że objaw ten, logicznie wynikający z zespolenia się idei »pracy organicznej« z tradycyami dyplomacyi szlacheckiej, tak długo kazał na siebie czekać, gdyby nie to, że za rządów Alaksandra III wszelki jawny akt zbiorowy, nawet czołobitności, był niemożliwy. Jak dalece objaw ten jest naturalny — dowodzi historya najświeższych wystąpień Prusa. Tłomaczono je łatwowiernością, naiwnością polityczną. Według mnie jest to prosta konsekwencya tego, że pozostał on aż do ostatniej chwili jeden jedyny bodaj z dawnych pozytywistów, wierny hasłom z przed 30-tu lat. Prus zawsze widział najwyższy cel życia społecznego w pracy jednostek gospodarczych nad ich dobrobytem. Akcya zaś ugodowa zdaje się gwarantować szersze niż dotychczas dla niej pole.

Pisząc więc swój program narodowo-kulturalny, pozostał on sobą. Naiwnem tylko jest nazwanie tego programu »narodowo kulturalnym«. Bo o kulturze narodowej nie stanowi ani ilość wydrenowanych morgów ziemi, ani jakość towarów wyprodukowanych w fabrykach, ani stopień wykształcenia ludu, lecz całokształt cech umysłu i serca, tendencyi intellektualnych i emocyonalnych, różniących dany organizm społeczny od innych, oraz kierunek, w jakim rozwój całego tego organizmu dąży. I wszelkie ograniczenie swobody jego ruchów jest tem samem zamachem na kulturę narodową. Zarówno jak organizm biologiczny, pozbawiony samodzielności i żyjący w obcem ciele, regressuje t. j. cofa się w swej ewolucyi, tak też i naród, zmuszony do życia w narzuconych mu, cudzoziemskich formach państwowych, zatraca swą odrębność cywilizacyjną. Między organizmem a narodem ta jednak zachodzi różnica, że o ile rozwój pierwszego niezależnym jest od jego woli, o tyle życie drugiego jest jednym wielkim trwającym przejawem świadomości. O narodowem życiu może więc być mowa tylko tam, gdzie istnieje świadoma dążność do zachowania i spotęgowania indywidualności zbiorowej społeczeństwa. Tymczasem program ugodowy żąda od nas, byśmy losy naszej cywilizacyi zawierzyli bez zastrzeżeń Rossyi, byśmy się zrzekli dobrowolnie prawa świadomego regulowania naszego wewnętrznego życia, żądając jedynie równych praw z cesarstwem — każe więc on nam wyrzec się podstawowych warunków narodowego życia, tego co treść jego stanowi, obiecując nam w zamian — co? pozbawienie nawet pozorów tego życia. Bo już sam fakt tego, że jesteśmy narodem, że mamy swą własną, różną od rosyjskiej, cywilizacyę — nakazywałby nam nie identycznych, lecz różnych praw się domagać, praw polskich, któreby były wyrazem polskiej, a nie rosyjskiej kultury.

Z tego więc już względu, że program Prusa jest ugodowym (w obecnem tego słowa znaczeniu), jest on nie narodowym. I jest takim jeszcze dlatego, że bierze w rachubę interesy tylko mieszkańców ziemi polskiej a nie narodu całego, że liczy się tylko z potrzebami jednostek, a nie ich zbiorowości, niszczy samo pojęcie narodu, atomizując je. Jest on też nieekonomiczny, chociaż potrzeby gospodarcze wysunął na plan pierwszy, bo zasadniczem prawem wszelkiej gospodarki, zarówno prywatnej jak i społecznej, jest koordynacya sił a nie ich rozdrabianie, najszerszym zaś, naturalnym gruntem tej koordynacyi jest naród. To też wszelki program pracy społecznej, który przyjmie za podstawę swych rachub dążności gospodarcze nie narodu, lecz jednostek lub poszczególnych grup zawodowych, nie może być korzystny ani dla całości, ani dla jej części składowych, chyba że naród przestanie być narodem, że wyrzeknie się swej indywidualności, że ją zatraci i rozpłynie się w obcym sobie organizmie. Tak, program ekonomiczny, zwany dawniej programem »pracy organicznej« dziś »polityki ugodowej«, wtedy tylko będzie

ekonomicznym, gdy społeczeństwo polskie przyjmie bez zastrzeżeń — nie lojalność — lecz kulturę rosyjską, gdy nauczy się czuć i myśleć po rosyjsku, a zapomni, iż było nawet kiedyś polskiem.

Ruch więc ugodowy — to nie kwestya moralności. Bo za nielicznemi wyjątkami — nikt chyba z tych, co zbierają i dają składki na fundacye imienia Mikołaja II, nie myśli o zmoskwiceniu się. Przeciwnie, większość święcie wierzy, że to najlepszy środek dla zachowania narodowej samodzielności. Jestto raczej sprawa rozumienia lub nierozumienia pewnych rzeczy.

Polityka ugodowa, to objaw nie tyle upadku etyki narodowej, co kapitalny błąd polityczny. Wszelkie więc rozczarowanie, zwątpienie w żywotność uczuć narodowych społeczeństwa, wszelkie zdania o chwilowej chociażby jego niezdatności do samodzielnej politycznej akcyi, są nie na miejscu.

I w interesie przyszłości narodu leży obecnie nie tyle »budzenie ducha«, co jasne i wyraźne sformułowanie konkretnego programu działania.

Polityka ugodowa, to negacya samodzielnej naszej politycznej myśli, przyznanie się do nieposiadania jej, a nawet zaprzeczenie możności jej istnienia. Należy więc wskazać, że ona istnieje, że jest konieczną, należy przedstawić ją oczom ogółu w całej jej pełni, obejmującą wszystkie dziedziny naszego życia kulturalnego, ekonomicznego, państwowego, i wyrażoną, nie w słowach tylko, lecz w czynach.

Tematem niniejszego szkicu, jest polityka ekonomiczna. Tworzy ona tylko część, rozdział jeden ogólnej polityki narodowej. Stosują się jednak do niej wszystkie podstawowe zasady tej ostatniej.

Jest to, że tak powiem, polityczno-ekonomiczna dedukcya. Ogólne założenie stanowią tu wymagania całokształtu kultury narodowej i wynikające z nich polityczne konsekwencye. Szczegółami, do których je zastosować mamy, potrzeby gospodarcze społeczeństwa i środki ich zaspokojenia.

A więc z faktu, że naród wtedy tylko może zachować w całej pełni swą indywidualność, gdy w stanie jest świadomie kierować wewnętrznym swym rozwojem zarówno w jego czysto duchowych jak i materyalnych (prawodawstwo, instytucye polityczne itd.) przejawach, że zatem naturalnem jego dążeniem jest myśl samodzielności politycznej, wynika szczegółowy wniosek, że tendencyą gospodarczą każdego, a więc i naszego społeczeństwa, musi być żądanie zupełnej autonomii we wszystkich sprawach polityki ekonomicznej.

Z reguły, że w celu utrzymania lub odzyskania swej samodzielności społeczeństwo powinno jaknajwiększą sumę swych sił rozwinąć, że zatem powinno powołać do świadomego udziału w życiu narodowem wszystkie swe warstwy, wypływa konsekwencya, że polityka ekonomiczna ma na demokratycznych się wesprzeć podstawach.

Z reguły, że dla każdej poszczególnej warstwy interes całości dostrzegalnym jest jedynie przez pryzmat jej interesów cząstkowych, że zatem żywa i silna świadomość narodowa niemożliwą jest bez świadomości klasowej sfer ludowych, wynika potrzeba wsparcia polityki ekonomicznej na gruncie klasowej struktury społeczeństwa.

Ztąd zaś, że mimo różnic i antagonizmów klasowych, byt każdej warstwy w oddzielności z dobrem całości narodowego organizmu, pojętego jako nieskończony szereg przeszłych, teraźniejszych i przyszłych pokoleń, nierozłącznie jest związany, wypływa polityczno-gospodarcza zasada równomiernego popierania wszelkich sił ekonomicznych kraju, niezależnie od tego, jaka klasa je reprezentuje, podporządkowując wszelkie dążności producentów potrzebom konsumcyi, interesy poszczególnych jej gałęzi — całokształtowi jej, a względy kupieckie bieżącej chwili — stałym gospodarczym tendencyom.

Wreszcie, z podwójnego tego faktu, że 1. normalne życie narodowe tylko w formach państwowych jest możliwe, że jednak 2. jedyną racyą bytu państwa jest potrzeba narodu zcentralizowania wysiłków i zapewnienia różnorodnym przejawom swego życia jednolitego kierunku, zgodnego z ogólną tendencyą rozwojową kultury, potrzeba więc ogólnej narodowej polityki, wynika dla nas konieczność posiadania samodzielnej polityki gospodarczej, której punktem wyjścia byłby prawno-polityczny stan kraju, a dyrektywą — interes ekonomiki narodowej.

Do tych samych identycznie wniosków doprowadza analiza szczegółowych potrzeb rolnictwa, przemysłu, handlu naszego, rozpatrzenie konkretnych warunków prawno-politycznych, w jakich żyjemy.

Dedukcya więc potwierdza indukcyę.

Polityczno-ekonomiczne wnioski znajdują swe potwierdzenie w podstawowych zasadach ogólno-narodowej polityki.

Lecz z drugiej strony i indukcya potwierdza dedukcyę, zasadnicze więc twierdzenia polityki narodowej okazują się słuszne w zastosowaniu do konkretnych faktów gospodarczych.

Rzecz to nie małoważna. Bo choć błędnem jest mniemanie, że najwyższym celem życia społecznego jest materyalny dobrobyt, że główną dyrektywą polityki narodu ma być jego interes ekonomiczny, to jednak nie da się zaprzeczyć, że ze wszystkich objawów życia kulturalnego najściślej dadzą się wymierzyć, ocenić z matematyczną niemal dokładnością, gospodarcze dążności i potrzeby.

Rozumowanie syllogistyczne, kombinacya pojęć abstrakcyjnych, dająca się tak łatwo nagiąć w tę lub ową stronę, ustępuje w zetknięciu z niemi miejsca, faktom, cyfrom i prawom, doświadczeniem wielu pokoleń stwierdzonym.

A fakty, cyfry i prawa te mówią, że podstawą dobrobytu jednostek jest niezależność ekonomiczna i rozwój wewnętrznych sił produkcyjnych, jedyną zaś tych ostatnich gwarancyą jest powszechna świadomość potrzeb gospodarki społecznej, świadomość czynna, mająca stały i ciągły swój wyraz w planowem dążeniu wszystkich warstw do ekonomicznej potęgi całego narodowego organizmu. I potępiają one to wszystko, co do osłabienia tej świadomości prowadzi, wszelkie hasła »pracy organicznej«, wszelkie programy »narodowo-kulturalne«, rozdrabniające nasze usiłowania, wskazujące za cel naszych dążeń interes jednostek gospodarczych, upatrujące ideał naszego życia w niekrępowanej przepisami prawa i policyi samopomocy indywidualnej.

Bo z potęgi ekonomicznej narodu łatwo wyprowadzić dobrobyt jednostek, lecz nie sposób z dobrobytu jednostek wznieść się do narodowego bogactwa.

Indywiduum gospodarcze tylko z zaspokojenia całości narodowo-gospodarczych potrzeb — zaspokojenie własnych swych potrzeb znaleść może.

Zwolennicy polityki ugodowej fakt ten przeoczają. Zbyt arytmetyczną jest ich metoda myślenia, zbyt prostą droga, którą dziś obrali, a raczej, po której już od

lat 30 kroczą, chociaż od niedawna dopiero kroczą po niej świadomie.

Czas już z niej zejść, wejść na drogę dłuższą, zawilszą, lecz mimo to pewniej do celu prowadzącą. Bo w życiu społecznem nie najprostsze drogi są najlepsze. Czas jest od samopomocy indywidualnej przejść do samopomocy narodowej, od pracy organicznej przejść do polityki pracy organicznej.

Czas dziś na to, bo tradycyjne formy gospodarcze nie wystarczają już warstwom ludowym, bo lud czuje potrzebę nowych środków pracy i gotów porzucić rutynę.

Polityka samopomocy ekonomiczno-narodowej jest dziś najpierwszą potrzebą ludu. Powinien też on i może być jej inicyatorem. A wprowadzona, siłą rzeczy skupi w sobie z czasem całe siły narodu.

Nie zapominajmy o tem, że nie tyle dobrych chęci i etyki, co rozumienia nam brak.

AKADEMICY POLSCY W NIEMCZECH.

II.

Kolonie, o których poprzednio wspominałem, wyjąwszy berlińską, lipską i wrocławską, reprezentowane są wyłącznie prawie przez młodzież zaboru rosyjskiego. Poznańczycy w nieznacznej tylko liczbie udają się na studya po za granice Prus, wszystkich zaś Galicyan, znajdujących się w tych okolicach, z łatwością na palcach policzyć by się dało. Tak więc, wypadnie mi mówić o stosunku ogółu niemieckiego do tej części młodzieży naszej, która z Niemcami żadnej prawie dotąd styczności nie miała, a stosunek ten jest bardzo ciekawy i znamienny zarazem. Podczas kiedy sfery urzędowe, nie wyłączając władz akademickich, zdradzają względem niej od niejakiegoś zwłaszcza czasu, pewne uprzedzenia, obywatelstwo miejskie zachowuje się zawsze jednakowo, serdecznie i dobrodusznie.

Każdy, świeżo na studya przybywający kolega, rozgląda się w pierwszej chwili za »budą« — naturalnie — jak tam nazywają pokoje kawalerskie. Ułatwiają mu to po części miejscowi koledzy, jeśli do nich wpierw trafił, lub też oryentuje się sam po kartach ogłoszeniowych, w oknach wywieszonych. Znajduje on zawsze odpowiadającą wymaganiom swoim »budę« stosunkowo za bardzo niską cenę, bo od 10 — 20 marek miesięcznie. Te zaś »budy« należą do najprzyjemniejszych wspomnień dla każdego, któremu po ukończeniu studyów, za powrotem do ojczyzny, przychodzi wieść dłużej kawalerski żywot. Pokój urządzony z wielką wygodą, z pościelą, z usługą miejscową na każde zawołanie, wreszcie ten bajecznie mały koszt — to rzecz niebywała w naszych stosunkach krajowych. Nie koniec na tem jeszcze. — Gospodynie, wynajmujace »budy«, nazywane powszechnie »babami«, otaczają nowego lokatora najtroskliwszą opieką, która — bez przesady — zaimponować jest w stanie każdemu przybyszowi z Polski, nie przywykłemu do podobnego traktowania. Opieka ta bowiem nie kończy się na wypełnieniu zastrzeżonych przy umowie punktów, lecz rozciąga się prawie do rozmiarów, mających charakter rodzinnej serdeczności. — »Baby« starają się odgadywać życzenia swoich lokatorów; na wypadek choroby, z góry można być przygotowanym, że i w szpitalu troskliwiej strzeżonym się nie będzie. Taki dobry stosunek psuje się dopiero w razie niepłacenia czynszu, lecz na pochwałę »bab« dodać trzeba, że pod tym względem są one nad wyraz cierpliwe, czekają bowiem często trzy, cztery miesiące, a nawet i pół roku niekiedy, nie narzucając się w sposób przykry lokatorowi.

Z szerokiego kredytu korzysta młodzież nasza na równi z niemieckimi swymi kolegami; na spłaty w bardzo nieznacznych ratach miesięcznych otrzymać może wszystko, począwszy od garderoby, a skończywszy na książkach. — Ze smutkiem jednak wyznać trzeba, że kredytu tego nadużywa ona nieraz w sposób lekkomyślny, a nawet wprost karygodny, na czem cierpi zazwyczaj cała kolonia. Bywały jednostki, które przestudyowawszy rok lub dwa w . . . . . knajpie i narobiwszy długów co niemiara, ulatniały się cichaczem i zacierały wszelki ślad po za sobą, kolonia zaś stawała się przedmiotem napaści ze strony niezaspokojonych wierzycieli, czyniących ją odpowiedzialną za wyobryki członka.

Najważniejszą instytucyą, z jakiej korzystają Polacy, jako studenci, jest kasa chorych, związana ściśle z administracyą zakładu naukowego. Wpłatę semestralną, wynoszącą trzy marki, uiszcza się jednocześnie z opłatą za wykłady, i daje ona prawo do bezpłatnego korzystania z porady lekarskiej, lekarstw, a w razie poważniejszej choroby, do umieszczenia w oddzielnym pokoju szpitalnym na przeciąg sześciu tygodni. Instytucya taka nie istnieje ani przy uniwersytecie warszawskim, ani też przy wyższych zakładach naukowych w Galicyi, a przecież ze wszechmiar jest naśladowania godną.

Zaznaczyłem wyżej, że stosunek młodzieży naszej do szerszej niemieckiej publiczności nie pozostawia nic do życzenia, można nawet powiedzieć, że jest on lepszy, niż stosunek panujący pomiędzy studentem a rodzimem jego otoczeniem w granicach kraju. Na to zgodzi się każdy, kto doświadczał stosunku tego w obu wypadkach.

W naprężonych od pewnego czasu stosunkach z władzami naukowemi i niemieckimi kolegami znać wpływ sztuczny, z góry wiejący i wprost inspirowany. Początek jego sięga chwili, kiedy to przedstawicielstwo niemieckiej studenteryi odbyło pielgrzymkę jubileuszową do Friedrichsruhe i z nabożeństwem wysłuchało wieszczych słów Pytyi tamtejszej. Po tym fakcie nastąpiła zmiana frontu i krecia na razie robota korporacyj i burszenszaftów, która wkrótce objawiła się w całej pełni, popierana przez ciała profesorskie. Inicyatywa do takiego jawnego wystąpienia wyszła z Karlsruhe. Według ustawy studenckiej, prawo wyboru i wybieralności do t. z. *Ausschussu* (wydział studencki, pośredniczący we wszystkich sprawach studenckich z władzami naukowemi i reprezentujący na zewnątrz młodzież danego zakładu naukowego) przysługuje każdemu studentowi bez względu na jego narodowość. Otóż na jednem z walnych zgromadzeń, na którem odbyć się miały wybory *Ausschussu*, podano wniosek, ograniczający prawo wybieralności dla obcokrajowców. Motywy wnioskodawcy nacechowane były takim bezbrzeżnym szowinizmem i tak komicznymi poprostu argumentami, że warto je tu w całości przytoczyć, tembardziej, że nadano im otwarcie barwę antypolską.

Nasamprzód mowca z patosem stwierdzał postępujący w zastraszający sposób proces polonizacyi (!) politechniki, ustawiczne obrażanie uczuć narodowych niemieckich przez mowę polską, rozbrzmiewającą po laboryatorach i salach rysunkowych, potem przedstawiał Polaków jako najgroźniejszych konkurentów, przenoszących niemiecką kulturę na daleki wschód i wy

pierających stamtąd element niemiecki, wreszcie nie podobał mu się pośpiech, z jakim Polacy odbywają studya. Jako takich, tolerować ich nie wolno żadnemu patryotycznemu studentowi niemieckiemu, a tembardziej dopuszczać ich do przedstawicielstwa! Probujących zabrać głos w tej kwestyi Polaków zakrzyczano formalnie i projektowaną zmianę statutu uchwalono, posiedzenie zaś zamknięto pieśnią narodową: *Deutschland, Deutschland über Alles*. Sprawa więc studencka przybrała charakter politycznej demonstracyi. Po takim wstępie przyszła wkrótce na porządek dzienny kwestya nowa, bardziej jeszcze charakterystyczna od pierwszej.

Ausschuss rozpisał składkę, obowiązującą wszystkich bez wyjątku studentów, na dar honorowy dla Bismarka z okazyi rocznicy jego urodzin. Polonia, naturalnie, zaprotestowała przeciwko przymusowi i sprawa byłaby doszła do poważniejszych rozmiarów, gdyby nie wdanie się rektora, który w sposób dość polityczny zatarg zatuszował, a projekt *Ausschussu* zmodyfikował o tyle, że składki stały się nieobowiązującemi wszystkich. Dano tylko do zrozumienia, że dobrowolna składka uważaną będzie za rzecz honoru i objaw patryotyzmu.

Nastąpiła teraz dla młodzieży naszej prawdziwie duszna atmosfera; drobne szykany posypały się jak z rękawa, trzeba więc było pomyśleć o stosownej reakcyi.

Pod wpływem pierwszego wrażenia postanowiono przenieść się gremialnie do innej politechniki, upatrując miejscowość, w którejby stosunki znośniejszymi były, i wskazano na Monachium lub Sztutgart, jako jedynie możliwe do wyboru, z innych bowiem kolonij dochodzić zaczęły wiadomości o podobnych stosunkach, jak i w Karlsruhe.

W Dreznie n. p. rozwiązano stowarzyszenie polskie studentów za to tylko, że, jako takie, nie wzięło udziału w komersie cesarskim, urządzonym przez ogół studentów, organ zaś akademicki, *Akademische Zeitung*, omawiając tę sprawę, począł również szczuć przeciw Polakom. Autor odnośnego artykułu zadał sobie nawet tyle trudu, że operował materyałem statystycznym, wykazując n. p. ile kubicznych metrów powietrza pochłaniają ze szkodą niemieckich studentów Polacy w obrębie murów zakładów naukowych całych Niemiec, ilu Niemców pozbawionych zostaje możności studyowania z powodu zajęcia miejsc przez żywioł obcy, głównie polski i t. p.

Jednocześnie użalać się poczęła na szykany kolonia w Darmsztacie. Jednem słowem, stosunki stawały się nie do wytrzymania wszędzie tam, gdzie tylko sięgają wpływy pruskie.

Od planu wszakże do jego wykonania — droga daleka! — Tak więc, i w Karlsruhe skończyło się na projekcie tylko. Natomiast postarano się za pośrednictwem prasy krajowej wszystkich trzech zaborów o powstrzymanie napływu rodaków do wspomnianej miejscowości.

Lecz oto stała się rzecz dziwna.

Z nowo rozpoczętym rokiem szkolnym nazjeżdżało się do Karlsruhe tylu Polaków, co nigdy przedtem. — Sprawiało to wrażenie, jak gdyby publikowane ostrzeżenia zwróciły właśnie uwagę młodzieży, wyjeżdżającej za granicę, na nieznaną jej dotychczas politechnikę. — Od tej chwili kolonja w Karlsruhe zachowuje się względem skierowanych ku niej szykan najzupełniej biernie, czego jej w każdym razie chwalić nie można.

Aby uwydatnić ten nagły i niespodziewany zwrot w stosunkach ze studentami niemieckimi, trzeba dodać, że do roku 1894 stosunki te były wcale dobre. »Polonia« należała do towarzystw naukowo-fachowych, istniejących przy każdym fakultecie i z epoki tej dodatnie tylko wspomnienia wynieść mogła. Piszącemu te słowa dotąd pamiętną jest mowa profesora Englera, dziekana fakultetu chemicznego politechniki w Karlsruhe, wypowiedziana na obchodzie gwiazdkowym. t. z. »*Weinachtskneipe*« stowarzyszenia chemików.

»Pośród nas — mówił szanowny profesor—mamy towarzyszy Polaków i Rosyan, którym dzikie stosunki polityczne uniemożliwiają studya w granicach własnego kraju. — Pokażmy przecież, że owoce naszej kultury i nauki dostępne są dla wszystkich, którzy je poznać pragną. Nie zapominajmy o tem, że Polacy i Rosyanie są naszymi gośćmi, a my, jako gościnni gospodarze, starajmy się dobrze zapisać w ich pamięci«!

Tak mówił profesor Engler w roku 1892, dzisiaj zapewne nie odezwałby się już w podobny sposób. — *Tempora mutantur*, a twierdzenie jakoby nauka nie miała nic wspólnego z polityką, wszędzie prawdopodobnie uzyska prawo bytu, tylko nie w Niemczech. Młodzież nasza źle czyni, nie mogąc zdecydować się dotąd na krok stanowczy wobec tak jawnie nieprzychylnej postawy, bo ta staje się coraz bardziej brutalną. Mamy wszakże nadzieję, że, jeżeli nie postanowi czegoś sama, w takim razie prędzej czy później będzie do tego zmuszoną okolicznościami. *Sigma.*

SPRAWA LUDOWA W ZABORZE ROSYJSKIM.

POGADANKA WARSZAWSKA.

Przyszedłszy niedawno do jednego ze swych znajomych, znajduję na stole »Program stronnictwa demokratyczno-narodowego«, widocznie świeżo otrzymany, bo niezmięty i niewybrudzony jeszcze, jak wszystkie obiegające u nas wydawnictwa nielegalne.

— Czytałeś? pytam.

— Dziś otrzymałem i przeczytałem, alem jeszcze nie przetrawił.

— Jakież pierwsze wrażenie?

Jedna rzecz, przyznam ci się, uderzyła mię swą względną nowością i... nierealnością. Mam na myśli zwrócenie uwagi na samorząd gminny. Co my możemy na tem polu zrobić?... Widocznie ci, co program pisali, nigdy na wsi dłużej nie siedzieli, na sprawy gminne nie patrzyli, widocznie zapomnieli, że żyjemy w państwie rosyjskiem, które stoi nie na prawie, ale na bezprawiu. Wszystko, cokolwiekbyśmy na polu samorządu gminnego chcieli zrobić, będzie miało za wyłączny skutek bezowocną stratę sił i czasu. Tu panuje i panować będzie nieograniczona samowola naczelników powiatowych, samowola, na którą niema żadnego lekarstwa. Wobec tego rozpisywanie się w programach o pracy na polu samorządu gminnego jest dla mnie oderwanem od życia, jałowem teoryzowaniem, ośmieszającem tylko program prac, mających za sobą przeszłość i niewątpliwie pewny grunt pod nogami.

Na tem tle wywiązał się między mną i gospodarzem spór, który w następstwie przeszedł na sprawę ludową wogóle i który mię zmusił do sformułowania i uporządkowania całego szeregu luźnych myśli w danym przedmiocie.

Ponieważ znajomy mój nie jest pewnie w swoich poglądach odosobnionym, ponieważ wielu ludzi niezawodnie podziela jego zapatrywanie na sprawę samorządu gminnego w Królestwie, ponieważ wreszcie nowe poglądy na sprawę ludową z ogromnym trudem przenikają do umysłów nawet inteligentnych ludzi u nas, przeto uważam, że nie zaszkodzi parę słów stosownych na tem miejscu powiedzieć, gdyż wogóle w naszem położeniu nigdy nie jest dosyć rozpraw o stosunkach ludowych i o polityce, do jakiej w nich jesteśmy obowiązani. Dlatego pozwalam sobie streścić w krótkich słowach to, com memu znajomemu na jego zarzuty odpowiedział, nie czując się zaś powołanym do pisania traktatu, wybrałem sobie dogodną, do niczego nie obowiązującą formę pogadanki.

Spytajmy pierwszego lepszego, mniej więcej wykształconego człowieka, czy uważa za możliwe, ażeby rozwój naszych stosunków społecznych i politycznych był wyjęty z pod praw ogólnych, wspólnych dla wszystkich społeczeństw cywilizowanych, a odpowie nam napewno, że nie. Ale gdy przychodzi do rozpatrywania naszych spraw poszczególnych, każdy je traktuje, jako coś całkiem specyficznego, niezależnego od wszelkich praw uznanych i stwierdzonych w życiu. Wiemy bardzo dobrze, mamy wiele przykładów na to, iż gwałcenie przez rząd ustaw, określających prawa ludu, póty jest możliwe, póki sam lud nieświadom jest praw swoich i niezdolny do solidarnej i konsekwentnej ich obrony na drodze, przez same ustawy wskazanej.

Najbliższym i świeżym przykładem, potwierdzającym tę prawdę, są stosunki sąsiedniej polskiej dzielnicy, Galicyi, i właśnie Galicyi zachodniej, przez lud polski zamieszkiwanej. Tam konstytucya do ostatnich czasów w stosunku do ludu była właściwie fikcyą, lud ten miał na papierze prawo posyłania do ciał prawodawczych i instytucyi samorządu miejscowego swych przedstawicieli, ale z prawa tego właściwie nie korzystał i narzucano mu posłów, najbardziej wrogie względem interesów ludu zajmujących stanowisko. Wszelka próba samodzielnego ze strony ludu wystąpienia była przyjmowana przez organy rządowe mniej więcej w taki sposób, w jaki dziś u nas naczelnicy powiatów postępują wobec wszelkich objawów samodzielności włościan na zgromadzeniach gminnych. Dziś czasy te dla Galicyi, zwłaszcza zachodniej, gdzie lud więcej dojrzał politycznie, bezpowrotnie minęły; dziś nawet skrajni wstecznicy szlacheccy i nałogowi biurokraci austryaccy starej daty przestają marzyć o tem, żeby można było ludowi narzucić posła, broniącego w imieniu tegoż ludu interesów »większej posiadłości«. Ostatnie wybory do rady państwa, jak świadczą sprawozdania w pismach, odbyły się w porównaniu z dawniejszymi wcale przyzwoicie — mówię ciągle o Galicyi zachodniej — i co do większości okręgów można powiedzieć, że lud bez przeszkód ze strony rządu głosował na tego kandydata, którego sobie życzył.

Pomimo tej nauki, pomimo przykładów, jakie nam życie innych krajów lub innych dzielnic naszej ojczyzny przed oczy stawia, nie jesteśmy zdolni doświadczenia, zdobytego gdzieindziej, przenieść na nasze stosunki i, korzystając z niego, nakreślić sobie właściwej drogi działania.

My konstytucyi nie mamy, w obronie najistotniejszych praw obywatelskich nie możemy się powoływać na paragrafy, ale to nie znaczy, żebyśmy mieli obowiązek pod każdym względem, nawet tam, gdzie nam coś ustawami zawarowano, zdawać się na łaskę i niełaskę organów władzy. Przeciwnie, obowiązkiem naszym, jako ludzi bądź co bądź cywilizowanych i mających pretensyę do życia w warunkach bardziej prawnych, jest strzedz, ażeby żaden paragraf ustaw obowiązujących, korzystny dla naszego społeczeństwa, nie pozostał martwą literą.

Ustawa gminna w Królestwie, która weszła w życie po ostatniem powstaniu, w naszych warunkach przedstawia dwie korzyści dla społeczeństwa. Samorząd gminny jest jedyną postacią samorządu, jaką w Królestwie posiadamy, chociaż więc bardzo skąpy, powinien być dla nas bardzo cennym. Dla ludzi przekonań i dążności demokratycznych, o ile ich demokratyzm jest szczery, tym większą winien on mieć wartość, że zastrzega prawo pewnej inicyatywy w życiu społecznem ludowi wiejskiemu, tej właśnie warstwie społecznej, o której polityczne wyrobienie najwięcej nam chodzi. Zresztą nasza ustawa gminna ma pewne dobre strony, któremi pochwalić się nie wszędzie mogą podobne ustawy w państwach prawnych. Jeżeli tedy jesteśmy politykami realnymi i dojrzałymi, jeżeli demokratyzm nasz nie jest frazesem, przedewszystkiem powinniśmy dążyć do tego, ażeby samorząd, jaki ludowi naszemu ustawą gminną zapewniono, był istotnym, ażeby nadużycia urzędników nie robiły z niego smutnej karykatury. Cała rzecz się do tego sprowadza, czy możemy coś w tym względzie zrobić.

Są ludzie, którzy utrzymują, że wobec wszelkich nadużyć ze strony rządu jesteśmy bezsilni. Przywykli oni patrzyć na rząd rosyjski, jako siłę niemal nadziemską, niezależną od wszelkich praw, stosunkami politycznymi rządzących. Pochodzi to stąd, że w naszych warunkach, istotnie wyjątkowych, ogromnie trudno o realizm w polityce. Dlaczego lud nasz nie ma w taki sam sposób walczyć o wykonywanie ustawy gminnej, jak lud polski w Galicyi walczył i walczy o wykonywanie konstytucyi?... Prawda, że walka tu jest o wiele trudniejsza: brak wolności słowa nie pozwala prowadzić należycie agitacyi, brak zaś praw, zapewniających wolność osobistą, pozwala rządowi usuwać »drogą administracyjną« niedogodne mu osobistości, posiadające wpływ wśród ludu — ale czyż to nas powinno od tej pracy powstrzymywać?... Nie mogąc prowadzić agitacyi jawnej, możemy organizować tajną; nie mogąc w prasie legalnej dawać wskazówek politycznych ludowi i pouczać go o jego prawach, możemy to samo robić, choć na mniejszą skalę, w drukach nielegalnych; nie mogąc w parlamentach interpelować o nadużycia, ilością procesów politycznych możemy burzyć opinię i rządowi sprawiać kłopot. Jeżeli ta działalność będzie prowadzona z należytą energią i umiejętnością, rząd będzie musiał ustąpić, własną ustawę uszanować, a potem stopniowo prawa ludu rozszerzać. Lud bowiem, który raz zdobył poczucie swych praw, wszedł na drogę politycznych zdobyczy, z której go żadna siła nie zepchnie.

Pewien jestem, że przeciwnicy tej działalności zarzucą przedewszystkiem, że jest ona zbyt kosztowną, że ponoszonych w niej ofiar nie opłaci cel nazbyt skromny. Bo faktem jest, że dla społeczeństwa, które żyjąc w bezprawiu oderwało się od realnych zagadnień politycznych i zatraciło zdolność rozumienia najistotniejszych potrzeb politycznego życia, zdobycie ograniczonego bardzo samorządu dla ludu jest celem zbyt skromnym. Nie możemy zrozumieć, że najdrobniejsza jednostka samorządu, gmina, w wszelkich warunkach jest najlepszą szkołą polityczną ludu, że tam się wytwarza istotne i trwałe zainteresowanie dla realnych potrzeb zbiorowych, tam

rodzą się elementarne pojęcia o skarbowości, administracyi i gospodarce publicznej, tam wreszcie kształci się zdolność kontrolowania władzy wykonawczej, że jednem słowem, w porządnej gospodarce gminnej człowiek przekształca się z biernego niewolnika, z poddanego, na czynnego i świadomego swych praw członka ustroju politycznego, na obywatela. A cóż jest naszym ideałem, cóż jest najświętszym celem naszych usiłowań, jeżeli nie przekształcenie wszystkich członków naszej społeczności na obywateli?... *Cajus.*

(Dokończenie nastąpi).

Z CAŁEJ POLSKI.

„Ogromne postępy rusyfikacyi". Spóźniony program ugodowy. Dwojaka taktyka polityczna. Następstwa polityki ugodowej w zaborze pruskim. Brak szkół średnich w Galicyi. Szkoły wydziałowe.

Na kilka dni przed przyjazdem cara warszawska *Gazeta sądowa* zamieściła wiadomość, którą powtórzyły bez komentarzy pisma miejscowe. Wiadomość, zredagowana w stylu prawniczym, dla wielu czytelników przejść mogła niepostrzeżenie, a jednak jest ona, i właśnie w danej chwili, bardzo znamienną:

»W tych dniach prezesi zjazdów sędziów pokoju otrzymali odezwę najwyżej zatwierdzonej komisyi do rewizyi ustaw sądowych z dnia 19. czerwca b. r. za nr. 2.819, z żądaniem dostarczenia dokładnych wiadomości o liczbie spraw, prowadzonych w sądach gminnych w języku polskim, stosownie do art. 464 org. wł. sądowych. Jednocześnie komisya, wyrażając przekonanie, że wobec nieustannych usiłowań rządu, znajomość języka państwowego uczyniła w kraju ogromne postępy, żąda od prezesów zjazdów wyrażenia swej opinii co do środków, jakie należałoby przedsięwziąć w celu ograniczenia prawa, wyrażonego w uwadze do art. 464 org. władz sądowych«.

Ta wiadomość po prostu oznacza, że ponieważ wskutek usiłowań rządu znajomość języka państwowego zrobiła »ogromne postępy«, więc w sądownictwie gminnem, mającem do czynienia przeważnie z ludem wiejskim, powinien być zaprowadzony w ustnem postępowaniu sądowem język rosyjski. Jest to nowy krok na drodze zrobienia z Królestwa »organicznie związanej z Rosyą całości", jak pięknie wyraża się margrabia Wielopolski.

Ten podarunek w przeddzień przyjazdu cara brzmi równie wymownie, jak *point des rêveries* Aleksandra II. Nie zbija to jednak ugodowców z tropu, na którym węszą łaski carskie. »My żadnych marzeń nie mamy" zapewniają jednogłośnie, nawet tak skromnych, jak to, że szlachcic w roli sędziego gminnego rozmawiać będzie mógł z sądzonym lub świadkiem chłopem po polsku, bez pośrednictwa tłomacza, że ten niemal jedyny, bardzo skromny objaw naszej »odrębności narodowej, kulturalnej i etnograficznej« nie zostanie nam odebrany.

Naszem staraniem powinno być — powiadają — »rząd na drodze pojednawczej utrzymać i do dalszych prób ugodowych zachęcić«. Czy do takich, jak ta właśnie, którą dziś zapisujemy? Gdyby rząd istotnie miał zamiar uszanować naszą odrębność już nie narodową, ale tylko etnograficzną, gdyby chciał uszanować nie prawa nasze, ale elementarne wymagania sprawiedliwości, nie wydawałby podobnych rozporządzeń. »Ogromne postępy«, które uczyniła »znajomość języka państwowego w kraju« polegają na tem, że 14 czy 15% rekrutów umie jako tako czytać i pisać po rosyjsku, chociaż nie rozumie dokładnie tego, co czyta lub pisze. Ten procent *„gramotnych"* nie wzrasta wcale przynajmniej od lat 10. Oburzamy się słusznie na sądy pruskie, karzące świadków lub oskarżonych, którzy nie chcą zeznawać po niemiecku. Ale Prusacy mogą powoływać się na ten przynajmniej argument, że istotnie znajomość jezyka niemieckiego zrobiła wśród ludności polskiej postępy, że każdy Polak może rozumieć mowę niemiecką, bo pobiera obowiązkową naukę szkolną. Tymczasem rząd rosyjski niedbał nawet o zakładanie szkół, któreby ludności polskiej jaką taką znajomość języka rosyjskiego dawały.

Przyznać jednak trzeba, że popełniając nowe bezprawie, pod jednym względem rząd rosyjski postępuje zupełnie lojalnie — nie daje nam żadnych złudzeń co do znaczenia wymagań »ścisłego zjednoczenia się ludności polskiej z państwem«. Jeżeli my się łudzimy, to na nim odpowiedzialność moralna za bałamucenie naszej naiwności nie ciąży.

Nie można wymagać odrazu nawet urzeczywistnienia najskromniejszych naszych żądań, »wytrwałość, cierpliwość jest nieodzownym warunkiem powodzenia« — poucza *Czas*, i tylko polityka legalności »postawić może przed rządem pytanie: czy represye dalsze są konieczne«. Ale tu przecie nie o represye chodzi, tych rząd obecnie zaniechał, nie o prawa wyjątkowe, tylko właśnie o »równouprawnienie Polaków z innymi obywatelami państwa« — w używaniu języka rosyjskiego, tylko o zaznaczenie, że kraj nasz jest »organicznie związany z Rosyą«. W komisyi, wyznaczonej do rewizyi ustaw sądowych, nie ma nawet zapewne zawziętych rusyfikatorów, a w każdym razie nie stanowią oni w niej większości. Działają tylko w myśl polityki rządu, dążącej do »ściślejszego zespolenia« kresów z państwem, może nawet szczerze przekonani, że ponieważ znajomość języka rosyjskiego musiała uczynić »ogromne postępy« wśród ludności polskiej, więc zaprowadzenie tego języka w sądownictwie gminnem jest rzeczą zupełnie naturalną, jest dalszem rozwinięciem »reformy sądowej« w Królestwie.

Kto wie nawet, czy rząd, nie wyrzekając się zasadniczo polityki rusyfikacyjnej, nie powstrzymałby jednak jej rozwoju postępowego, jeżeli chodzi mu istotnie o zjednanie sobie ludności polskiej, gdyby ugodowcy zaraz na początku swej akcyi zaznaczyli stanowczo i wyraźnie, że przywrócenie językowi polskiemu praw, należnych mu w życiu publicznem, jest warunkiem *sine qua non* uregulowania stosunku naszego do państwa. Oni tymczasem dziś jeszcze poprzestają na bajaniu ogólnikowem o »konsekwencyach, wynikających z poszanowania naszej odrębności narodowej, kulturalnej i etnograficznej«, którą, zdaniem opinii rosyjskiej rząd szanuje, bo nie zabrania przecie Polakom w Królestwie rozmawiać nietylko w domach prywatnych, ale i w miejscach publicznych po polsku.

»Wybiła godzina — woła teraz uroczyście *Kraj*, w której trzeba nam samym z sobą i z Rosyanami rozmówić się szczerze, bez utajania prawdy, choćby najboleśniejszej i dla dumy i dla ambicyi narodowej«. Pomimo tego zapewnienia, *Kraj* zresztą nie mówi Rosyanom nic takiego, coby ich dumę i ambicyę narodową urazić mogło, a nawet w ogóle ani szczerze, ani nie szczerze nie mówi o ich stosunku do naszego społeczeństwa. Ten brak szczerości wobec własnego społe-

czeństwa i wobec opinii rosyjskiej jest jednym z najcięższych zarzutów przeciw t. zw. polityce ugodowej. Łudzi ona i okłamuje świadomie nietylko własne społeczeństwo, ale i rosyjskie i rząd i nawet »najdostojniejszą osobę« cara. Dziś, gdy rząd niewątpliwie pewną skłonność do ustępstw okazał, gdy w polityce jego uwidocznił się i uwydatnił swoje rysy znamienne wpływ osobisty młodego cara, dziś wątpliwości nie ulega, że nowo ochrzczone stronnictwo umiarkowane, szczerze i jasno określając swoje stanowisko wobec państwa i narodu rosyjskiego, mogło było przyczynić się do pewnej zmiany na lepsze warunków naszego bytu politycznego. Tę sposobność zmarnowało, dalszą akcyę żywiołom umiarkowanym, ale szczerze narodowym utrudniło, wrogiej opinii rosyjskiej przeciw sobie dostarczyło argumentu, z którego ta w przyszłości niechybnie skorzysta.

Wszelkie odcienie taktyki politycznej, mającej na celu uzyskanie pewnych ustępstw czy zdobyczy, dadzą się sprowadzić do dwóch typów. Jeden z nich polega, mówiąc trywialnie, na wytargowywaniu, drugi na wywalczaniu ustępstw od rządu. W pierwszym wypadku najbardziej właściwą jest droga kompromisu, którego istotą jest targ polityczny, redukowanie lub zmienianie z góry oznaczonych wymagań, stosownie do okoliczności chwili i warunków istniejących. Jest to taktyka zwykła stronnictw zachowawczych, politycznie dojrzałych i wyrobionych, ustalonych, mających programy obmyślane i jasno sformułowane. Przeciwnie, taktyka zdobywcza, która zaczyna od żądań stosunkowo skromnych i stopniowo je rozszerza, w miarę uzyskanych ustępstw, odpowiednią jest jedynie dla stronnictw młodych, z natury swych dążeń postępowych, złożonych z żywiołów nie skonsolidowanych, ulegających wpływom różnorodnym, rozwijających się lub nawet organizujących się dopiero. Nasze stronnictwo ugodowe czy też umiarkowane, które przecie sroce z pod ogona nie wyleciało, ale samo chwali się długim rodowodem i posiadaniem nietylko w przeszłości »wytrawnych mężów stanu«, powinno było mieć, jak miało zawsze dawniej gotowy jeżeli nie program, to dokładny spis żądań, czy bodaj potrzeb kraju. Przecie Wielopolski, na którego wciąż się powołują, wystąpił w swoim czasie z programem gotowym, nawet w szczegółach określonym. Jeżeli dziś ten program jest niemożliwy, to czy to znaczy, że również niemożliwy jest każdy inny? To wszystko dowodzi, że pomiędzy t. zw. ugodowcami nie ma ani jednej głowy politycznej i dopiero, kiedy ich wymagania rzeczywistości zmusiły do ogłoszenia jakiegoś programu, polecili — *risum teneatis* — ułożenie go na prędce p. Piltzowi. Ten program, który w innem miejscu przytaczamy, tak był pospiesznie formułowany, że autor już po wydrukowaniu w *Kraju* musiał telegraficznie zmieniać czy też uzupełniać niektóre wyrażenia. Byłoby to komicznem, gdyby nie było zarazem smutnem świadectwem tego: jacy ludzie »robią« dziś u nas »politykę narodową«.

Kiedy w Warszawie polityka ugodowa święci zwycięstwo bodaj czy nie Pyrrhusowe, w zaborze pruskim, chociaż dawno już tam zbankrutowała, w przykry sposób odzywają się wciąż pośrednie jej następstwa. Likwidacya tej polityki nie jest jeszcze skończoną i kto wie czy prędko się skończy. Najszkodliwszem z jej następstw jest wytworzony w czasie rozkwitu stronnictwa dworskiego stosunek znacznej części duchowieństwa i hierarchii kościelnej do pewnych objawów dążeń narodowych, a zwłaszcza do t. zw. ruchu ludowego. Wogóle ugodowcy poznańscy dotychczas zapomnieć urazy nie mogli do tych wszystkich, którzy przeciw ich polityce występowali, chociaż głównym powodem upadku tej polityki była nietyle opozycya żywiołów demokratycznych w kraju, ile zmiana stosunków i prądów w Berlinie, w sferach najwyższych. Obecnie główny powód do waśni zniknął, ale pozostało rozjątrzenie wzajemne.

Towarzystwo przemysłowe w Bydgoszczy obchodziło 25-letni jubileusz. Policya, ma się rozumieć, starała się przeszkodzić obchodowi i dopiero po usilnych zabiegach kilku osób poważnych pozwoliła jedynie na urządzenie koncertu i zabawy.

Nie warto byłoby pisać o wystąpieniu policyi przeciw towarzystwu polskiemu, bo to rzecz dzisiaj zwyczajna w zaborze pruskim, jeżeli więc o tem zajściu wspominamy, to dlatego, że w roli sojusznika policyi wystąpił następnie proboszcz miejscowy, który nie chciał odprawić mszy na intencyę towarzystwa. Postępek księdza oburzył przemysłowców bydgoskich, bardziej jednak jeszcze oburzyło ich zamieszczone w *Kuryerze poznańskim* objaśnienie tej odmowy. Organ duchowieństwa oświadcza, że ksiądz nie mógł odprawić mszy na intencye towarzystwa, które znajduje się pod zgubnym wpływem *Orędownika* i swego »duchownego prowodyra«. Czytelnik, nie znający stosunków miejscowych, może pomyśleć, że *Orędownik* jest pismem liberalnem, wrogo przeciw religii i kościołowi występującem. W rzeczywistości zaś organ »ruchu ludowego obok dosyć umiarkowanego zresztą radykalizmu w sprawach społecznych jest pismem szczerze katolickiem, które w epoce walki kulturnej było jednem z najgorliwszych w obronie praw kościoła i duchowieństwa i do niedawna jeszcze uchodziło za klerykalne.

Z powodu tego wyjaśnienia wywiązała się polemika ostra, pełna rekryminacyj i oskarżeń, których obie strony sobie nieszczędziły. Podobne polemiki bezcelowe, a nawet nieraz przedmiotowe, świadczące jednak o wzajemnem rozdrażnieniu, zdarzają się często w pismach poznańskich. To echa tej waśni, którą wzniecila polityka ugodowa w społeczeństwie polskiem zaboru pruskiego.

Niejednokrotnie pisaliśmy już o tem: jak trudnem jest w stosunkach tamtejszych położenie duchowieństwa polskiego, szczerze sprawie narodowej oddanego, które, chcąc służyć czynem tej sprawie, zazwyczaj bez odpowiedniego dla niej pożytku narażać się musi na represyę władzy duchownej, bądź świeckiej, bądź najczęściej obu razem, albo skazane jest na zupełną prawie bierność. To położenie wytworzyła w znacznej mierze polityka ugodowa, która zarazem poróżniła część duchowieństwa z ruchem ludowym, a nawet wiele jednostek słabych lub ambitnych zdemoralizowała. W Poznańskiem nie ma jeszczy księży germanizatorów, jak w Prusiech Zachodnich lub na Śląsku, ale są już księża, którzy jawnie występują przeciw dążeniom narodowym i obrażają uczucia ogółu, jak ci np., którzy zbierali składki na pomniki Wilhelma I.

Polityka ugodowa rozbiła solidarność społeczeństwa w zaborze pruskim, a raczej zmusiła swych przeciwników do jej osłabienia. Dla uratowania interesów narodowych i godności narodowej było to koniecznem. Dziś powodu do zrywania solidarności nie ma, ale pozostały niechęci wzajemne, spory, podejrzenia, mniej lub więcej uzasadnione, które nawiązanie zerwanej solidarności utrudniają niezmiernie, zniewalają nawet do przekształcenia jej na nowych zasadach, co i czasu i sporego nakładu energii wymaga. Każda polityka, sprzeczna z dążeniami tradycyjnemi i uczuciami narodu,

a tymbardziej z interesami ludu, wywoływać musi opozycyę nieprzejednaną, walkę na śmierć i życie sprzecznych kierunków politycznych, między którymi nie może być kompromisu.

Zamieściliśmy kiedyś w *Przeglądzie wszechpolskim* artykuł, porównywujący liczbę szkół średnich w Galicyi i w Królestwie. Galicya ma 30 gimnazyów i 4 obecnie szkoły realne, czyli w stosunku do swego obszaru i ludności prawie dwa razy więcej szkół i blisko trzy razy więcej uczniów. Liczba szkół średnich jest jednak niewystarczającą, wszystkie bowiem są nad miarę przepełnione. Pomimo że w r. b. otwarto czwartą szkołę realną w Rzeszowie, do szkoły lwowskiej zgłosiło się tylu uczniów, że pomieścić ich nie można w lokalu dotychczasowym. Porównanie z innymi krajami austryackimi wykazuje najlepiej, ilu szkół brakuje jeszcze Galicyi, która, jak twierdzą dzienniki niemieckie jest przez rząd »faworyzowaną«. Dane bierzemy ze sprawozdania ministerstwa wyznań i oświaty za ubiegły rok szkolny.

Na ogólną l czbę 187 gimnazyów w Przedlitawii, przypada na Galicyą 30. Cyfra ta nieproporcyonalnie mała, jeżeli zważymy, że mniejsze i mniej ludne Czechy posiadają 56 gimnazyów, Niższa Austrya 26, Morawy 22, Tyrol 11. Na 30 gimnazyów w Galicyi (z których 25 jest polskich, 2 ruskie, 2 niemieckie i 1 polsko-ruskie w Kołomyi), przypada 14,759 uczniów. Gdy na jedno gimnazyum przypada uczniów: w Morawii (niemieckie gimn.) 240, w Salcburgu 241, w Czechach nie-(mieckie gimn.) 250, w Karyntyi 252, na Śląsku 258, w Tyrolu z Vorarlbergiem 273, w Czechach (czeskie gimn.) 289, w Styryi 291, w Dalmacyi 296, w Krainie 321, w Niższej Austryi 326, w Pobrzeżu 348, w Wyższej Austryi 348, w Morawii (czeskie gimn.) 379, to w G a l i c y i cyfra ta podnosi się do 496. Galicya zajmuje w tym szeregu miejsce przedostatnie, bo tylko Bukowina ma jeszcze bardziej przepełnione gimnazya. Galicyjskie gimnazya są przeszło dwa razy liczniejsze, niż niemieckie w Morawii i Salcburgu, a prawie dwa razy niż niemieckie w Czechach. Tak niekorzystnie dla naszego kraju przedstawiają się cyfry przeciętne; o wiele gorzej wyda nam się stan rzeczy, gdy uwzględnimy szczegóły, gdy zestawimy z sobą te gimnazya, które są najliczniejsze pod względem frekwencyi uczniów, i te, które mają uczniów najmniej. Oto na 27 gimnazyów, które mają ponad 500 uczniów, przypada 15 na Galicyę, a najbardziej przepełnionem jest IV gimnazyum we Lwowie, bo liczba uczniów dochodzi do 900. Na 35 takich gimnazyów przedlitawskich, które mają poniżej 200 uczniów, jest aż 26 niemieckich, 7 czeskich, 1 słoweńskie, 1 serbskie, a ani jednego polskiego.

Postanowione już założenie szóstego gimnazyum we Lwowie i szkoły realnej w Tarnowie niewiele pomoże. Liczba uczniów stale z każdym rokiem wzrasta, pomimo przybywania szkół zawodowych. Galicya powinna mieć przynajmniej 50 szkół średnich, a gdybyśmy chcieli dorównać Czechom — 70. Na małym Śląsku austryackim jest kilkanaście szkół średnich, na 600,000 ludności, w tym stosunku w Galicyi powinno być około 100.

Zaznaczyć jednak trzeba, że powiększeniu liczby szkół średnich w Galicyi stoi na przeszkodzie nietylko brak funduszów, ale i brak nauczycieli. Na wydziałach filozoficznych w obu uniwersytetach liczba słuchaczów jest niewielką, a z nich po ukończeniu nauk niektórzy tylko poświęcają się zawodowi nauczycielskiemu w szkołach średnich. Od tego zawodu odstręcza młodych ludzi liche uposażenie t. zw. suplentów (zastępców profesorów), a bardziej może jeszcze stosunki, panujące w ministerstwie oświaty i wogóle w administracyi szkolnej. Obecnie, zarówno we Lwowie i w Krakowie, młodzież ciśnie się przeważnie na wydział prawny, łudząc się zawodną nadzieją, że zmiany w sądownictwie dokonywane, ułatwią jej zdobywanie posad. Zresztą w biurokratycznem społeczeństwie galicyjskiem urzędnik administracyjny lub sądowy zajmuje w hierarchii towarzyskiej wyższe stanowisko, niż profesor, lekarz lub inżynier.

Brak gimnazyów nie byłby tak dotkliwym, gdyby zawczasu utworzono w dostatecznej liczbie i odpowiednio zreformowano t. zw. szkoły wydziałowe, które stanowią jakby wyższą szkołę ludową. Kurs czteroletni szkoły wydziałowej dawać powinien przygotowanie ogólne młodzieży, idącej następnie do szkół fachowych i sposobiącej się do zawodów praktycznych. Obecnie właśnie krajowa rada szkolna zajęła się temi szkołami, ale są one w Galicyi niepopularne, po pierwsze dlatego, że nie są odpowiednio do potrzeb zorganizowane, powtóre dlatego, że obrażają — nie poczucie demokratyczne, ale powiedziałbym raczej — fałszywą ambicyę ludności niezamożnej. Takie szkoły istnieją wszędzie i więcej ma sensu posyłania do nich dzieci, które mają w przyszłości obrać zawód praktyczny, niż przepychanie ich przez kilka klas gimnazyalnych, żeby oddać następnie do handlu lub rzemiosła. Ma się rozumieć, utraciłyby te szkoły odstręczający od nich charakter specyalnych zakładów dla dzieci rodziców ubogich, gdyby bodaj czasem ludzie zamożni posyłali tam również swoje dzieci w zamiarze kształcenia ich później na kupców i rzemieślników. Ale w Galicyi nie prędko to jeszcze nastąpi, bo każdy woli wychowywać syna na najmarniejszego nawet urzędnika, niż na rzemieślnika lub kupca.

J. L. Jastrzębiec.

Z ZABORU ROSYJSKIEGO.

Warszawa 27. sierpnia.

Przyjazd cara. Święto polityki lojalnej. Ciemne plamy na jasnem tle chwili. Obawa reakcyi przeciwugodowej. Pogłoski o „łaskach“ i niezwykły pesymizm lojalistów. Fundacya imienia carskiego. Język polski w sądach gminnych.

Car przyjeżdża... Oto fakt, około którego kręci się cała obecnie myśl naszych polityków. Jedni zakrzątnięci około przygotowań do manifestacyjnego przyjęcia władcy, drudzy pełni nadziei, że przyjazd Mikołaja II będzie punktem zwrotnym w naszych smutnych dziejach obecnych, inni znowu oburzeni na to gięcie karku ze strony niewybranych przedstawicieli narodu, jeszcze inni, w końcu, obmyślający sposoby przeciwdziałania szkodliwemu wpływowi manifestacyi lojalnych — wszyscy mówią o tem, co nastąpi za dni parę i z ciekawością wyglądają chwili przyjazdu carskiego. Obok tej politykującej mniejszości reszta społeczeństwa z mahometańskim fatalizmem patrzy na przebieg wypadków i mówi lub myśli: »co będzie, to będzie, a lepiej nam nie będzie«...

Przedstawiciele naszego lojalizmu znajdują się w przededniu chwili niezmiernie dla nich w ich przekonaniu doniosłej i przez nich upragnionej. Car przybywa do Warszawy i im pozwolono go powitać, wyrazić uczucia wiernopoddańcze, złożyć dar monarsze od narodu, zaprezentować mu miasto, przystrojone w łuki tryumfalne i na tle dekoracyi tłum nastrojony lojalnie.

Co prawda, władze postarały się o to, żeby na jasne tło chwili rzucić parę plam ciemnych. Z początku nie chciała się policya zgodzić na to, żeby wolno było otwierać okna i z nich przesyłać carowi pozdrowienia. Obawiano się widocznie jakiego zamachu z okna. Po długich wszakże staraniach udało się organizatorom manifestacyi przekonać władze, że w Warszawie nikt się z dynamitem nie nosi i że życiu Mikołaja II nic w naszej stolicy nie grozi, wobec czego zakaz cofnięto. Gdy zdawało się już, że wszystko pójdzie dobrze, zjawiła się kwestya języka, w jakim można uczucia wiernopoddańcze wyrażać. Okazało się, że w przekonaniu władz język polski jest do tego nieodpowiedni. Na łukach tryumfalnych nie dozwolono umieścić napisów polskich, a nawet cyfry carskie po polsku na transparentach przy iluminacyi kazano usunąć. Kto chce uczcić cara transparentem, nie może umieszczać na nim polskiego *M* (Mikołaj), jeno rosyjskie *N* (Nikołaj), wyglądające, jak nasze *H*. Delegacyom od społeczeństwa, które mają być carowi przedstawione, nie pozwolono przemawiać ani po polsku, ani po francusku, jeno wyłącznie po rosyjsku, a nadto skład ich przesiano przez sito policyjne, skutkiem czego w niektórych niema ludzi, umiejących dobrze po rosyjsku mówić. Wreszcie do powitania cara na dworcu kolei nie dopuszczono ani jednej osoby prywatnej — będą tam sami tylko urzędnicy i wojskowi.

Wszystko to nie jest przyjemne naszym lojalistom, psuje bowiem nastrój i daje broń ich w ręce przeciwnikom politycznym, którzy słusznie powiadają, żeśmy niewiele na »nowym kursie«zyskali, skoro nawet uczuć wiernopoddańczych nie wolno po polsku wypowiadać. Niemniej przeto rozumieją »ugodowcy« całą doniosłość chwili obecnej. Chwila obecna jest ich świętem. Mają, czego oddawna pragnęli, wysunęli się na pierwszy plan i reprezentują bez przeszkody społeczeństwo w sposób dla siebie najbardziej pożądany. Ale radość ich nie jest zupełna. Psuje ją obawa, ażeby w chwilowym tryumfie nie tkwił zarodek ich zguby. Chcąc wytworzyć w masie nastrój lojalny, rozbujali oni jej nadzieje opowiadaniami o szlachetnych zamiarach młodego monarchy. Nie mogąc wskazać na żadne istotne dla nas ulgi w dotychczasowych postanowieniach Mikołaja II, kazali ich oczekiwać w przyszłości. Znaczna też część ogółu spodziewa się, że car skorzysta z pobytu w Warszawie i uszczęśliwi nasz naród jakim epokowym ukazem, usuwającym niemałą część krzywd, które nam się dzieją. Wobec tego panowie ugodowcy słusznie się obawiają, że po wyjeździe carskim, gdy nadzieje zostaną zawiedzione, temperatura uczuć wiernopoddańczych raptownie spadnie i polityka ugodowa otrzyma cios dotkliwy. Jak mi wiadomo, w kołach ugodowych zastanawiano się poważnie nad tą sprawą i uznano za właściwe już przed przyjazdem cara oblewać w miarę możności zimną wodą tych, co się zawiele spodziewają. Sami tedy ugodowcy zaczynają utyskiwać, żeśmy się rozczarowali, że wrogie nam wpływy u dworu zbyt są silne, że pomimo dobrej woli ks. Imeretyńskiego rusyfikacya ciągle się posuwa, że i nadal, w bliższej przyszłości niczego, szczególnie dla nas dobrego, nie możemy się od rządu spodziewać. Wszystko to ma przedewszystkiem na celu sparaliżowanie z góry tej reakcyi, jakiej po wyjeździe carskim można oczekiwać. Ale na przeszkodzie politykom obozu lojalnego stoją te bezmyślne jednostki, które im dotychczas służyły rozsiewaniem legend o »nowym kursie«. Ci panowie idą dalej w swym kierunku i opowiadają, że car wyda wspaniały manifest, że będzie amnestya dla wszystkich politycznych przestępców, że prawa języka polskiego będą przywrócone itd. itd. Ojcem naszego lojalizmu jest utylitaryzm, o ile więc ogół korzyści z manifestacyi lojalnych nie zobaczy, o tyle łatwo straci do nich przekonanie.

Po stronie przeciwników manifestacyi wiernopoddańczych i wogóle t. zw. polityki ugodowej panuje chwilowo zupełna cisza. Powinno to »ugodowców« cieszyć, ale dobrze, że tak jest. Gdyby się odbyła obecnie jakakolwiek manifestacya antirządowa, gdyby nastąpił jaki protest przeciw ich manifestacyi, mieliby argument do wykręcania się przed ogółem, że mogli wiele zdobyć, ale inni im przeszkodzili. Historya naszego ogółu, którą wyzyskują dziś dla swych celów, zemści się niebawem na nich i wystąpi w objawach najmniej dla nich samych pożądanych. Nie myślę twierdzić, że lojalizm straci u nas grunt pod nogami. Przeciwnie, w pewnych sferach lojalizm jest oddawna potrzebą całkiem naturalną i zrozumiałą. Dopóki społeczeństwo nasze żywo i wyraźnie pamiętało rok 63-ci, dopóty opinia była niezmiernie drażliwa na wszelkie objawy lojalizmu. Dziś ten krwawy dramat dziejowy dość już jest daleki, wspomnienie o nim nie tak już żywe, aby mogło silny wpływ na postępowanie wywierać. Wobec tego opinia staje się coraz pobłażliwszą na wszelkie grzechy w tym względzie, i ci, dla których lojalizm jest interesem, swobodnie sobie uprawiają wiernopoddańcze praktyki. Nie możemy marzyć, abyśmy tych mogli nawrócić na drogę postępowania, zgodną z interesami narodu. Idzie tylko o tę uczciwą a politycznie naiwną część społeczeństwa, która ma najlepsze chęci, ale daje się w najtrywialniejszy sposób obałamucać. Co do tej części właśnie można się spodziewać, że po wyjeździe carskim zrazi się ona nieco do polityki ugodowej, rozczarowana w swych nieuzasadnionych nadziejach..

Ciałem, reprezentującem naród podczas pobytu carskiego, będzie z porządku rzeczy komitet, zbierający składki na fundacyę i pozostający z urzędu pod przewodnictwem margrabiego Zygmunta Wielopolskiego. Komitet wręczy carowi dar, t. j. uzbierane pieniądze, a car sam prawdopodobnie nie rozporządzi niemi, jeno wyznaczy inny komitet, ażeby odpowiedni projekt opracował. Z początku, jak to wiadomo, ze składkami było krucho. Pomimo wymuszania ich sposobami policyjnymi nie zanosiło się wcale na to, żeby ofiary dosięgły nakazywanego przez przyzwoitość miliona. Sytuacyę ratują należący do komitetu i grupujący się koło niego bogacze, którzy własnym groszem dokładają. W chwili pobytu Mikołaja II w Warszawie komitet napewno będzie w możności okrągły milion na stół położyć.

Tak się przedstawiają rzeczy. Zdaje się, iż Mikołaj II nie będzie miał powodu uskarżać się na złe przyjęcie. Będą iluminacye, łuki tryumfalne, dary od narodu, po ulicach, przy bramach będą zgromadzeni przedstawiciele wszystkich klas narodu: robotnicy, rzemieślnicy cechowi, kupcy, właściciele większych posiadłości, wioślarze, cykliści, łyżwiarze, karciarze z towarzystwa racyonalnego polowania, wreszcie stan włościański, reprezentowany przez... orkiestrę Namysłowskiego. Czegoż więcej trzeba? Kogo więcej możemy wysłać na spotkanie? Posłalibyśmy radę miejską, ale jej niema, niestety... Ha, może będzie w bliskiej przyszłości. Ojcowie miasta mieliby na jej posiedzeniach możność wyćwiczenia się w języku rosyjskim, którym dziś ku swemu zmartwieniu należycie nie władają, a przecie tylko w tym języku będą mogli wypowiedzieć swe uczucia wobec monarchy.

Obawiam się, że znów jaki głupiec powie, iż podsuwamy rządowi narzucenie nam języka rosyjskiego w razie nadania samorządu miejskiego. Niestety, niczego innego spodziewać się nie możemy wobec polityki rządu, wypierającego coraz bardziej z użycia publicznego mowę czczonego pomnikiem Mickiewicza. Pisano już wiele o świeżej rusyfikacyi towarzystw kredytowych, nowozakładanych instytucyi, jak

pogotowie ratunkowe i t. p. — obecnie trzeba zanotować nowy zamach rządu na polszczyznę i to w dziedzinie ogromnie ważnej. W naszych sądach gminnych cała procedura piśmienna jest rosyjska, ale w ustawie tych sądów istnieje paragraf, dopuszczający użycie języka polskiego w procedurze ustnej, gdy strony rosyjskim nie władają. Otóż obecnie ministeryum sprawiedliwości odniosło się do władz miejscowych z zapytaniem: czy paragraf ten nie jest zbytecznym wobec tego, że znajomość języka rosyjskiego wśród ludności kraju znacznie się już upowszechniła?... Jak widzimy, opiekuńczy rząd o nas pamięta i »nowy kurs« idzie całą parą. »Niech żyje Mikołaj II!« Przepraszam, nie wolno po polsku... Jak to tam panowie, będziecie wołali: *„ura! do zdrawstwujet!...*

Ze Żmudzi.

II.

Poziom umysłowy warstwy szlacheckiej. Przystosowywanie się i upadek moralny. Złudzenia ugodowe. Litwomani.

Teraz nieco wyraźniej skreślę w zarysach ogólnych życie umysłowe klasy kulturalnej, zatem przeważnie szlacheckiej. Przedewszystkiem muszę podkreślić względnie niski stopień wykształcenia umysłowego oraz brak swojskości w niem; w pow. poniewierskim mamy około 200 obywateli ziemskich, a z pomiędzy nich tylko kilku ukończyło szkoły wyższe, nieco więcej — szkoły średnie, znaczna większość otrzymała t. zw. wykształcenie domowe lub ukończyła kilka niższych klas gimnazyalnych. W tem wykształceniu, jak wspomniałem powyżej, brakuje swojskości i samodzielności wszelakiej: rzadko kto zna przeszłość swego kraju, rzadko kto zna naszą literaturę i język o tyle, by mógł pisać i mówić poprawnie... Sądzę, że z pośród t. zw. inteligencyi miejscowej zaledwie około piątej części potrafi napisać list gramatycznie; w każdym razie zdarza się często, że nawet wielcy właściciele ziemscy piszą listy, pełne omyłek. Wogóle rzadko kto z pośród mężczyzn przestrzega czystości mowy: każdy dba o to tylko, żeby go zrozumiano, bo czystość mowy to głupstwo! Wogóle — na czystość mowy i dokładne obeznanie się z naszą literaturą i językiem zwrócono uwagę śród ziemian dopiero od niedawna; młodsze pokolenia o wiele lepiej władają językiem własnym niźli starsze, kobiety — lepiej niż mężczyźni. Życie umysłowe przeważnie wyraża się w czytelniach; bibliotek publicznych nie mamy, ale wszędzie spotykamy składkowe czytelnie ruchome; rozpowszechnione też jest abonowanie pism peryodycznych, których liczba coraz bardziej wzrasta. Dziś już niema bodaj dworu, w którymby nie było kilka pism peryodycznych, są nawet takie, które dla służby abonują *„Gazetę Świąteczną“*, *„Zorzę“*, i sprowadzają polskie wydawnictwa ludowe, a przy sposobności nawet zakazane litewskie. Mimo rozpowszechniania się czytelnictwa, wpływy współczesne oddziaływają względnie słabo: większość właścicieli ziemskich uporczywie trzyma się tradycyi, która niekiedy przenosi nas w wieki zamierzchłe; dodać jednak należy, że pokolenia młodsze są od niej niemal wolne, ale to niekiedy daje rezultaty ujemne. Wogóle śród ogółu najpiękniejsze tradycye naszej przeszłości, które licują z wymaganiami chwili obecnej, są mało znane, natomiast ten ogół trzyma się uporczywie tradycyj zwyczajowo-moralnych pomimo tego, iż stoją one w rażącej sprzeczności z wymaganiami i pojęciami współczesnemi. Poczucie społeczne, zmysł społeczny, jakbym go nazwał, jest wogóle rozwinięty bardzo słabo: interesy osobiste i kastowe biorą górę, a stopień wykształcenia jest tak niski, że nie pozwala spojrzeć i ogarnąć teraźniejszości z szerszego punktu widzenia. Rzadko kto rozumie i odczuwa solidarność narodową, wspólność interesów ogółu narodu, większość nie chce ani tego uznać, ani zrozumieć. Znaczna część właścicieli ziemskich — to społeczne zera lub nawet wartości ujemne, albowiem w imię swoich własnych, źle zrozumianych interesów, drażnią i obrażają głęboko lud. Nie można twierdzić, by śród ziemian istniały w chwili obecnej jakieś określone ideały i pragnienia: większość nie wierzy w lepszą przyszłość, zapatruje się na nią pesymistycznie, ale bo też nie zna ani sił i potęgi naszego narodu, ani też jego zasobów kulturalno-cywilizacyjnych, natomiast przecenia siły, wpływy i znaczenie państwa; a jeżeli nawet je neguje, opiera się, trzyma się przeszłości, to tylko biernie, tradycyjnie. Wszelkie najdrobniejsze ustępstwo uznaje za wielką łaskę; tak n. p. zniesienie kontrybucyi wywołało objawy prawdziwej radości i wdzięczności... Do takiego stopnia zanikł śród ziemian zmysł polityczno-społeczny, że aktu sprawiedliwości koniecznej nie umiano ocenić należycie. Mówię: »sprawiedliwości koniecznej«, albowiem w Petersburgu stanowczo przyszli do wniosku, że uprzednie postępowanie nadal jest niemożliwem, bezowocnem. W tych warunkach pozostało tylko spróbować środków pojednawczych: tem należy bodaj tłomaczyć zmianę polityki, która wyraziła się w pewnych ulgach kościelnych, zniesieniu kontrybucyi, zamiarach wprowadzenia ziemstw i t. d.

Szlachta żmudzka ostentacyjnie przyjmuje gubernatora miejscowego, który objeżdża dziś gubernię; swoje postępowanie tłómaczy wdzięcznością za ulgę podatkową (zniesienie kontrybucyi) i przychylne sprawozdanie w sprawie wprowadzenia ziemstwa bez żadnych ograniczeń wyłącznych. Niektórzy twierdzą, iż od postępowania szlachty będzie zależała kwestya zamianowania do Wilna jenerał-gubernatora, przeto należy zamanifestować swoją lojalność...

Nie umiem określić ściśle, co ci panowie rozumieją przez »zamanifestowanie lojalności«, bo w Petersburgu dobrze wiedzą, iż o żadnych »marzeniach« nasze ziemiaństwo ani śni, że w chwili obecnej o nadaniu jakichbądź praw narodowo-społecznych ani marzy, że pragnie tylko równouprawnienia t. j. uchylenia ustaw wyjątkowych i uznania zasady równouprawnienia w zakresie ekonomiczno-społecznym, nie zaś — narodowościowym. Wogóle nawet ludzie opinij skrajnych zachowują się spokojnie, nikt bowiem nie myśli dziś o jakichbądź ruchach a nawet propagandzie. Wiedzą o tem dobrze władze, wiedzą, że wszelkie przeciwdziałanie, jeżeli istnieje, opiera się wyłącznie na tradycyi, na obronie elementarnych praw istnienia ludzkiego.

Wobec tego dziwnem jest manifestowanie tej lojalności względem — gubernatora! W jaki sposób? Obiadami, które mu wydaje ziemiaństwo. Warto podkreślić, że nasi ziemianie nie mają pieniędzy na pomnik Mickiewicza, ale mają — na obiady uroczyste: takich obiadów odbyło się 7, a każdy z nich kosztuje około 1000 rub.; ładna to sumka! Nie dość tego: nasi ziemianie, tak pozornie dbali o godność osobistą i niezależność, którzy usuwali od uczestnictwa w nich sądowników, ludzi przynajmniej wykształconych i często uczciwych, ale nieposiadających własności ziemskiej, spotykali się na tych obiadach z ludźmi »z pod ciemnej gwiazdy«, ale właścicielami ziemskimi; tak np. na obiedzie wydanym przez szlachtę pow. poniewierskiego był obecny p. Burhard, komisarz do spraw włościańskich, któremu człowiek uczciwy ręki podać nie może, jako regenatowi; nasi ziemianie unikali go uprzednio jak ognia, dziś inaczej... Dziś obniżył się poziom wymagań społecznych: dziś zapomniano o tem, że za czasów prezydentury Somowa panowie Nikodem Butrym i Kozakowski, w charakterze sędziów honorowych, uczestniczyli w zjazdach sędziów pokoju i świadomie podpisywali protokoły fałszywe: Somow przed rokiem zasądzony przez wileńską Izbę sądową, nie zezwalał świadkom zeznawać po polsku albo po litewsku,

nakazując w takich razach zapisać do protokołu: »świadek odmówił zeznania« ! I takie protokoły ci panowie, miejscowi właściciele ziemscy, podpisywali, by zachować swą posadę, bezpłatną w dodatku, a być może — otrzymać jakiś krzyżyk, chociaż obowiązki sędziego honorowego i sumienia nakazywały postąpić zupełnie inaczej, nakazywały protestować, a protest ten byłby niewątpliwie uwzględniony przez wyższe władze sądowe! Ale bo poco to zadzierać się z p. Somowem: przykro będzie, a na tej krzywdzie sprawiedliwości i prawa wszak ucierpi szlachcic zagonowy, chłop, żyd, nie zaś właściciel ziemski! Naturalnie: obiad nie przeszedł bez cebrzyka zimnej wody; wylał ją na głowy ziemiańskie p. gubernator, dziękując »synom jednej świętej Rosyi«, którzy są zadowoleni z rządów i swego losu! Ale ten cebrzyk zimnej wody nie ostudził głów niektórych panów: już o 4 rano p. Józef Karp z Kławan wraz z panem Antonim Chodakowskim i p. Burhardem dopuścili się gwałtu na osobie dorożkarza: przywiązali go do konia i w ten sposób zaprzężoną dorożką jeździli po mieście, każąc muzyce towarzyszącej im, grać marsza żałobnego!

Wogóle o jakiejbądź ofiarności na cele użyteczności publicznej w śród naszych ziemian mowy chyba być nie może. Przed kilku laty w sprawie założenia gimnazyum polskiego w Cieszynie rozesłano około sto listów, na które otrzymano tylko 2 odpowiedzi z dołączeniem datków sowitych, jedną z pow. wiłkomierskiego, drugą — poniewierskiego, a jakoś niedawno zdarzyło się, że ks. Ogiński (z Retowa) złożył kilkanaście rubli na urządzenie rosyjsko-patryotycznego wieczorku literackiego dla dziatwy szkolnej w Retowie, na którym też był obecny miejscowy ks. proboszcz! Wogóle dyplomacyi szlachecko-księżej nie wiedzie się: ks. biskup Pallulonis kazał zbierać po kościołach składki na rzecz T-wa Czerwonego Krzyża, zebrało się przeszło $2^1/_2$ tys. rub... Podziękowano biskupowi i za te pieniądze założono w Kownie bezpłatną lecznicę dla przychodzących chorych, do której sprowadzają prawosławne Elżbietanki! Ta okoliczność dała powód do bardzo złośliwych uwag o biskupie katolickim, który sprzyja usiłowaniom krzewienia kościoła wschodniego...

Wogóle oryginalnem a ciekawem jest zachowanie się ziemiaństwa względem kościoła katolickiego i duchowieństwa: pozornie całe ziemiaństwo jest arcykatolickiem, ale ów katolicyzm bynajmniej nie gra roli przeważnej w życiu moralnem, nie wyklucza ostrej krytyki postępowania duchowieństwa, ani sceptycznego poglądu... Cała religijność sprowadza się bodaj przeważnie do zachowania pozorów zewnętrznych, do przestrzegania pewnych tradycyj wiekowych, do zachowania pewnych form przyzwoitości towarzyskiej. Można słyszeć zdania wśród księży, że nie warto kazać po polsku, albowiem wyższe klasy społeczne są wprost jakoby pozbawione wiary. W każdym razie nie ulega zaprzeczeniu, że wewnętrzne życie religijne śród ziemiaństwa średniego oraz warstw oświeceńszych zanikło niemal doszczętnie; jeśli trzymają się i wyznają dotąd katolicyzm, to przeważnie widzą w nim ochronę przeciwko rusyfikacyi; z tego punktu widzenia należy tłómaczyć podtrzymywanie kościołów, zewnętrzne oznaki szacunku dla duchowieństwa i t. d. Mówią jeszcze: »trzeba dawać dobry przykład, bo dla służby i ludu kościół jest wszystkiem«. Ogół utożsamia u nas niemal katolicyzm z polskością; zdanie to w warunkach obecnych jest bodaj słusznem, w tem tkwi pewna antypatya, którą żywią wszyscy prawie ku księżom t. zw. litwomanom. Ci ludzie, wyzwalają się z pod wpływów naszej kultury, a nie mając własnej, albo ulegają najgorszym wpływom rosyjskiej, albo wprost dziczeją kulturalnie; są oni nawet społecznie szkodliwi, to też nie dziw, iż nieco wykształceńszy ogół otacza ich pewną pogardą.

Przy tej sposobności pozwolę sobie skreślić słów parę o stosunku miejscowego ziemiaństwa, szlachty do garstki inteligencyi litewskiej. Ziemian Litwinów, właścicieli, choćby obszarów średnich, niema; jeżeli kilku włościan uprzednio nabyło posiadłości większe, to starali się, przynajmniej swoje dzieci wychowywać na Polaków, co zwykle udawało się, sami zaś chętnie przyjmowali formy naszej kultury wraz z językiem; zamożniejsi chłopi starają się wzorować swe życie na wzór szlachty zaściankowej, przyjmując jej język, obyczaje i zwyczaje. Ta okoliczność, zauważana i podkreślona wielokrotnie przez władzę rosyjską, ogromnie nie podoba się w Wilnie. Od lat kilkunastu rozpoczął się t. zw. ruch litwomański; garstka inteligencyi litwomańskiej zamieszkuje w kraju. Mówię »garstka«, bo w całej gubernii nie znajdzie się chyba setki osób, wyznających tę doktrynę; konieczność liczenia się z rzeczywistością i stosunkami chwili bieżącej, zmusza do pewnej względności i umiarkowania. Ci panowie są obcy dla mas ludowych, albowiem hasła krytyki i negacyi nie są czemś, co pociągnęłoby lud. Słowem — jest to grupa tak niesmaczna, że jej winy społeczne, bardzo niewielkie, nie z powodu braku chęci, ale możności — należy rozgrzeszać całkowicie. Na zakończenie nadmienię, żem nie spotkał nigdy człowieka, który byłby przeciwnikiem samodzielnego rozwoju plemienia litewskiego; prawdopodobnie, zapowiadające się zmiany pozwolą nawet miejscowej szlachcie przyczynić się nieco do uspołecznienia ludu, albowiem w przyszłych ziemstwach żywioł polski będzie miał stanowczą przewagę.

Jan Syrokomla.

USTĘPSTWO KONIECZNE.

Wkrótce po powstaniu w kilkunastu, czy nawet w kilkudziesięciu parafiach katolickich na Litwie, przeważnie w gubernii mińskiej, zaprowadzono w nabożeństwie dodatkowem język rosyjski. Zgodzili się na to księża, używający najgorszej sławy, jawni odstępcy, jak osławiony Senczykowski, lub ludzie niemoralni, pijacy, zdziercy, rozpustnicy i t. p. Po przywróceniu przed kilkunastu laty hierarchii kościelnej na Litwie księża występni niektórzy nawrócili, inni znów byli usunięci z posad (w dyecezyi wileńskiej), inni wymarli i obecnie nie wielu już ich pozostało. O tem pamiętać trzeba dla należytego zrozumienia przytoczonego niżej dokumentu. Jest to cyrkularz rozesłany przez konsystorz archidyecezyi mohilewskiej do ks. dziekanów w gubernii mińskiej:

»Ukaz Jego Ces. Mości, samodzierżcy rosyjskiego, z duchownego konsystorza rzymsko-katolickiego mohilewskiego. — Do dziekana ..... Konsystorz wysłuchał propozycyą administratora archidyecezyi mohilewskiej z 20 maja r. b. nr....., w której się podaje do wiadomości, że p. minister spraw wewnętrznych przy piśmie z 29 kwietnia nr...... przesłał J. Ekscelencyi komunikat kardynała sekretarza J. Świątobliwości, odnoszący się do porozumienia, zawartego i najwyżej zatwierdzonego między rządem naszym a J. Św. Papieżem, które dotyczy kościołów, w których był wprowadzony język rosyjski w nabożeństwie dodatkowem, zakazany rozporządzeniem św. Stolicy Apostolskiej z 11 czerwca 1877. — Na podstawie tego porozumienia J. Świątobliwość, obstając przy wymienionym zakazie używania języka rosyjskiego, pozwolił na odprawianie w przyszłości w tych kościołach nabożeństwa i na udzielanie tamże św. Sakramentów wyłącznie w języku łacińskim. J. Ekscelencya zaproponował przeto konsystorzowi wysłać ukazy do administratorów kościołów rzymsko-katolickich, w których się używało w nabożeństwie dodatkowem języka rosyjskiego, polecające nadal używanie w nabożeństwie i przy udzielaniu

św. Sakramentów języka łacińskiego podług ksiąg liturgicznych św. Kościoła rzymskiego. Postanowiono: zakomunikować to, o czem mowa w wymienionej propozycyi, wszystkim dziekanom gubernii mińskiej dla dokładnego wykonania i poinformowania administratorów kościołów rzymsko-katolickich, w których się używało w nabożeństwie dodatkowem języka rosyjskiego, wymagając przedstawienia do konsystorza piśmiennych oświadczeń co do notyfikacyi wymienionego rozporządzenia, przy własnych sprawozdaniach dziekanów. Oprócz tego: wysłać ukazy dla dokładnego wykonania do oddzielnych administratorów kościołów w Kojdanowie, Uzbieniu i Rakowie. — Petersburg, dnia 28 maja 1897.«

Dotychczas rząd w parafiach, w których zaprowadzono w nabożeństwie język rosyjski, nie pozwalał na żadną zmianę. Wszystkie więc parafie, zajmowane niegdyś przez t. zw. księży rytualistów, były nieobsadzone, bo dziś nie ma już kandydatów, którzyby zgadzali się na nabożeństwo dodatkowe w języku rosyjskim, a gdyby się tacy znaleźli, to żaden biskup by ich nie zatwierdził. Zresztą lud na nabożeństwo rosyjskie nie uczęszczał prawie wcale. Wobec tego rząd rosyjski musiał ustąpić i wytargował tylko w Rzymie połowiczne załatwienie sprawy. Połowiczne, bo odprawianie nabożeństwa i udzielanie sakramentów w języku łacińskim zadośćczyni najpilniejszym wprawdzie potrzebom ludności, pomija jednak tak ważne, jak katechizacya, kazania, śpiewy i t. d. Sądzimy jednak, że z biegiem czasu język polski z konieczności będzie w tych parafiach w kościele używany, jak jest używany w innych.

Z ostatniego ustępu cyrkularza wnosić można, że już w trzech tylko kościołach: w Kojdanowie, Uzbieniu i Rakowie odprawiane było do ostatniej chwili nabożeństwo dodatkowe w języku rosyjskim.

Czy rząd rosyjski byłby w tej sprawie ustąpił, gdyby nie poświęcenie się biskupa Hryniewieckiego i wielu innych zacnych kapłanów, którzy przeciw rytualistom jawnie występowali? Czy bez tego oporu i protestów, bez ofiar i narażania się władzy, polityka ugodowa mogłaby się popisać tem ustępstwem, które na swoje »dobro« bezczelnie zapisuje? Odpowiedź na te pytania dla każdego człowieka uczciwego jest zupełnie jasną.

KSIĄDZ, ZALECAJĄCY ZAMIANĘ KOŚCIOŁA NA CERKIEW.

W Jędrzejowie (gubernia kielecka) oprócz kościoła parafialnego jest drugi przy klasztorze dawniej Cystersów, później Reformatów, zamienionym obecnie na seminaryum nauczycielskie. W tym po-reformackim kościele spoczywają zwłoki Błogosławionego Wincentego Kadłubka, którego grób jest przedmiotem pielgrzymek wielu pobożnych.

Niepodobało się to proboszczowi miejscowemu i powodowany chciwością, namawiać zaczął władze rosyjskie, żeby kościół po-klasztorny zamknęły, dla skuteczniejszego zaś poparcia swego planu podał projekt zamiany kościoła na cerkiew prawosławną, jakoby potrzebną przy seminaryum.

Postępek tego księdza wydać się musi każdemu potwornym i nieprawdopodobnym, ale *Gazeta narodowa*, z której wiadomość tę czerpiemy, bardzo zachowawcza i klerykalna, zapewnia, że fakt podany przez nią jest prawdziwym i dokładnie stwierdzonym.

Zuchwała nikczemność proboszcza jędrzejowskiego jest następstwem pośredniem karygodnej pobłażliwości dla złych księży i tchórzliwości biskupa Kulińskiego, który płaszczy się wobec władzy i lęka się wszelkiego z nią zatargu. Proboszcz jędrzejowski nie obawia się kary, bo wie przecie, że kolega jego ks. Sikorski z Dąbrowy, notoryczny szpieg i zbrodniarz, który targnął się na cześć kobiecą umierającej dziewczyny, został przez ks. Kulińskiego na żądanie władzy bardzo łagodnie ukarany, jak gdzieindziej karzą księży za jakiś wybryk niewłaściwy. Jeżeli zresztą biskup w przemówieniu publicznem zapewnia, że Polacy pragną zjednoczenia się z państwem rosyjskiem, to proboszcz, rozwijając konsekwentnie poglądy swego zwierzchnika, otacza miłością braterską cerkiew prawosławną.

ODEZWA Z POWODU PRZYJAZDU CARA.

Nadesłano nam z Warszawy odezwę, rozrzuconą po mieście na dwa dni przed przyjazdem cara. Odezwa, wydana przez »Centralny komitet robotniczy«, ma charakter wybitnie patryotyczny, i protestuje przeciw oświadczeniom wiernopoddańczym ugodowców, dziękujących za łaski nieotrzymane.

»Słyszycie robotnicy — w waszem imieniu oświadczają, że wam jest dobrze, gdy pod opieką cara wyciska z was pracę pan i fabrykant, jest dobrze, gdy policyant i żandarm znęca się nad wami, gdy szpicel śledzi za każdym waszym krokiem i słowem, gdy setki braci waszych więżą w cytadeli i wywożą na Sybir. W waszem imieniu wyrażają żal za rzekome grzechy przeszłości i obiecują poprawę na przyszłość. Lecz hańba ta nas nie dotknie— zostanie ona w całości udziałem tych, którzy zawsze szukali u władzy oparcia dla swych celów somolubnych. Nie chcą oni Polski wolnej, bo ciemna ich robota wymaga mroku, jaki właśnie stwarza niewola«.

Podobno przy rozlepianiu tej odezwy aresztowano dwóch robotników. Jakkolwiek, zdaje się, nie wiele egzemplarzy tej odezwy dostało się do rąk publiczności, policya i żandarmi bardzo się ukazaniem jej zaniepokoili, bo według pojęć biurokracyi rosyjskiej oni są przedewszystkiem winni, że nie umieli zapobiedz wydaniu odezwy.

Z ZABORU PRUSKIEGO.

ZAKAZ NAUCZANIA RELIGII.

W Potulicach około Nakła, miejscowy kapelan, ks. Budziak, zgromadzał dzieci i uczył je religii, ma się rozumieć, w języku polskim. Nie podobało się to władzom administracyjnym i kilkakrotnie badano dzieci, czego je ks. kapelan uczy, nikt jednak nie przypuszczał, żeby można było zakazać księdzu spełniania jego bezpośredniego obowiązku. Tymczasem niedawno landrat zawiadomił ks. Budziaka, że z polecenia królewskiej regencyi w Bydgoszczy, (prezesem tej regencyi jest osławiony Tiedemann) nie wolno mu udzielać nauki religii dzieciom, ponieważ nie sprawuje publicznego urzędu duchownego. Gdyby ks. Budziak nie usłuchał zakazu, za każdą lekcyę religii grozi mu landrat grzywną 150 marek lub więzieniem dwutygodniowem, na podstawie § 132, nr. 2 prawa o zarządzie krajowym *(Landesverwaltungs-gesetz)*. Jak wyjaśnia w *Dzienniku poznańskim* kompetentny w tej sprawie prawnik, zakaz nie ma żadnej podstawy legalnej.

Kuryer poznański, donosząc o zabronieniu ks. Budziakowi nauczania religii, dodaje do tej wiadomości taką uwagę: »Czy już u nas doszło(?) tak daleko, że nawet kapłanom nie wolno prawd wiary nauczać i w myśl cesarskiej woli i życzenia pracować«?. Widocznie *Kuryer* z przyzwyczajenia wojuje jeszcze frazesami z doby złudzeń ugodowych, bo nie przypuszczamy, żeby świadomie okłamywał swoich czytelników i udawał, że wierzy w dobrą wolę i szczerość życzeń Wilhelma II. Wolą i życzeniem

cesarza jest przedewszystkiem zniemczenie ludności polskiej, powstrzymanie jej rozwoju narodowego, o czem świadczy wymownie polityka rządu pruskiego, która jest przecie niemal wyłącznie polityką osobistą Wilhelma II.

OSADNICTWO POLSKIE.

Działalność parcelacyjna i kolonizacyjna komisyj generalnych, zajmujących się urządzaniem włości rentowych, obejmuje całą monarchię pruską, ale rozwija się najlepiej w prowincyach polskich. W działalności swej komisye generalne nie kierowały się z początku względami politycznymi i nie zwracały uwagi na narodowość osadników. Dopiero niedawno, pod wpływem agitacyi hakatystów wydano rozporządzenie, oznaczające procent osadników polskich.

Komisye generalne istnieją w Bydgoszczy, Królewcu, Wrocławiu, Kasselu, Dysseldorfiie, Frankfurcie nad Odrą, Merseburgu, Monasterze i Hannowerze, ale dwie pierwsze utworzyły więcej bodaj włości rentowych, niż wszystkie pozostałe.

W r. 1896 utworzono w Prusiech 867 nowych włości rentowych i zakupiono 300 posiadłości włościańskich; z tych 1167 włości należy 750 do Niemców, 345 do Polaków, 53 do Mazurów, których statystyka urzędowa liczy osobno, 17 do Czechów, właściwie Morawian na Śląsku i 2 do cudzoziemców. Ogólny rezultat działalności komisyj generalnych od r. 1891 do 1896 przedstawia się jak następuje:

Nowych osad utworzono 4552, odkupiono 1836. Osadników, według narodowości, było Niemców 3983, Polaków 1975, Mazurów 142, Czechów 17, Litwinów 66 i cudzoziemców 5. Polacy stanowią więc 33% ogółu osadników, pomimo rozporządzeń, utrudniających im nabywanie włości rentowych. A w prowincyach polskich nasi osadnicy niemal wyłącznie są nabywcami włości rentowych.

Okazuje się więc, że gdyby włościanom naszym w Prusiech nie stawiano szczególnych przeszkód osadnictwo polskie rozwinęło by się tak szybko, że wkrótce odzyskało by znaczną część utraconego przez własność większą obszaru. Dopóki komisya generalna w Bydgoszczy nie utrudniała Polakom korzystania z dobrodziejstw ustawy o włościach rentowych, Bank ziemski w Poznaniu mógł działać skutecznie z niewielkim stosunkowo kapitałem, gdyż w krótkim czasie wycofywał pieniądze, wyłożone na nabycie i rozparcelowanie majątku. Obecnie Bank musi mieć kapitał większy, ale przytoczone wyżej cyfry dowodzą, że działalność jego, jak również działalność polskich spółek parcelacyjnych rozwijać się mogą znakomicie, istnieje bowiem wśród ludności polskiej odpowiedni materyał osadniczy, którego Niemcy, jak o tem świadczą próby komisyi kolonizacyjnej, nie mają. Ludność polska stanowi około 10% ogółu mieszkańców państwa pruskiego, dostarczyła zaś komisyom generalnym, pomimo różnych przeszkód, 33% ogólnej liczby osadników rentowych.

ECHO WYBORÓW W ŚWIECKIEM.

Gazety niemieckie do ostatniej chwili rozpisywały się o »zamordowaniu« nauczyciela Grüttera przez rozjuszonych agitacyą wyborczą robotników polskich i zbierały nawet składki dla wdowy po tym »męczenniku sprawy niemieckiej na kresach wschodnich«. Zaznaczyliśmy już dawniej, jak się rzecz miała. Grütter, wracając z wyborów pijany, wszczął w wagonie kłótnię, ma się rozumieć z powodu kwestyj politycznych, z robotnikami Polakami, i jednego z nich uderzył kijem. Poturbowany nawzajem, wyskoczył sam, czy też został wypchnięty z wagonu i upadł nieszczęśliwie na kupę piasku, gdzie go znaleziono umarłego, ale bez poważnych obrażeń ciała.

Wielu robotników Polaków wówczas aresztowano, niektórych wypuszczono następnie, inni podobno dotychczas siedzą w więzieniu. Ale, sądząc z przebiegu oskarżenia, sprawa nieprzedstawia się tak poważnie, jak pisały dzienniki hakatystowskie, a o zamordowaniu Güttera nie ma mowy.

Oskarzono 6 osób tylko. Sprawa miała być (według oskarżenia prokuratoryi) wytoczoną przed sądem przysięgłych w Grudziądzu o zakłócenie porządku publicznego (*Landfriedensbruch*). Izba karna grudziądzka nie przychyliła się wszakże do wniosku prokuratoryi i przyjęła tylko oskarżenie o wspólne pobicie (*gemeinschaftliche Körperverletzung*). Przeciwko decyzyi izby karnej wiosła prokuratorya rekurs do wyższego sądu ziemiańskiego w Kwidzynie, gdzie dotąd tej sprawy nierozstrzygnięto.

Czy się utrzyma wniosek prokuratora, czy też przeważy zdanie izby karnej, w każdym razie dziś już nie ulega wątpliwości, że »męczennik sprawy niemieckiej« był po prostu awanturniczym pijakiem.

IMIONA POLSKIE.

Pewien obywatel w Grudziądzu zawiadomił urząd stanu cywilnego, że urodziła mu się córka, której pragnie dać imiona Stanisława Jadwiga. Na drugi dzień wezwano owego obywatela do urzędnika stanu cywilnego, który mu oświadczył, że imiona Stanisława Jadwiga nie mogą być umieszczone w regestruch urzędowych, »ponieważ są polskiemi« i że trzeba wybrać dla dziecka inne imiona. Ojciec chciał już zezwolić na to, żeby po imieniu Jadwiga wpisano w nawiasie niemieckie *Hedwig*, ale gdy urzędnik nie zadowolnił się tem ustępstwem, ów obywatel Polak zawiął się również i powiedział krótko i węzłowato, że córka jego musi być zapisaną jako Stanisława Jadwiga.

Nie potrzeba dodawać, że urzędnik stanu cywilnego nie ma prawa żądać zmiany imienia, ani nawet, bez zezwolenia meldującego, wpisywać w nawiasie imię niemieckie. Zdarza się jednak często, że urzędnicy stanu cywilnego dopuszcza się podobnych nadużyć, zwłaszcza jeżeli mają do czynienia z ludźmi ubogimi i nieoświeconymi. Nietylko na prowincyi, ale nawet w Poznaniu probowano zapisywać nazwiska kobiet w formie męzkiej, t. j. z końcówką *ki*. Często również urzędnicy stanu cywilnego piszą nazwiska polskie pisownią niemiecką i t. p. Pomimo niejednokrotnych protestów powtarzają się wciąż te nadużycia, na które jedynem dziś środkiem jest pouczanie rodziców, żeby sami do urzędu stanu cywilnego zgłaszali się i praw swoich bronili, nie zważając na pogróżki urzędników, oraz żeby o każdym tego rodzaju wypadku zawiadamiali pisma polskie.

ZWIĄZEK TOWARZYSTW PRZEMYSŁOWYCH.

Potrzeba łącznego, zorganizowanego działania zaznacza się coraz wyraźniej w zaborze pruskim. Na zjeździe przedstawicieli towarzystw przemysłowców polskich w Toruniu poruszono myśl połączenia tych towarzystw w jeden związek. Z podobnym projektem wystąpił następnie *Dziennik berliński*, pismo bardzo żywotne i ruchliwe. Przeciwnicy projektu wysunęli słuszny zarzut, że łączenie towarzystw, wobec § 8, zabraniającego tworzenia związków towarzystwom, mającym charakter polityczny, byłoby niebezpiecznem. Wprawdzie nasze towarzystwa przemysłowców nie mają charakteru politycznego, ale rząd pruski inaczej sądzi o tem i nie dba o ścisłe przestrzeganie litery prawa.

Gazeta toruńska sądzi, że należałoby oddzielić sprawy zawodowe od spraw politycznych i społecznych, dla pierwszych tworzyć organizacye specyalne, natomiast dzisiejszym towarzystwom przemysłowym dać inny charakter.

»Sądzimy, że należałoby do naszych towarzystw przemysłowych, o ile w nich o polityce i narodowości mówić nie można, sprawy te wprowadzić a rozszerzywszy, o ile możności, nazwę, tworzyć towarzystwa rolniczo-przemysłowe w którychby były dozwolone rozprawy o wszystkich zagadnieniach politycznych, nie wykluczające polityki bieżącej i naszych najżywotniejszych interesów narodowych. Takie towarzystwa mogłyby i powinnyby stać się ogniskiem życia umysłowego i politycznego dla światłych żywiołów miasta i powiatu, wydobyły społeczeństwo z politycznego niemowlęctwa i wytworzyłyby u nas jakąś opinię polityczną. Oczywiście towarzystwa rolniczo-przemysłowe, zajmujące się polityką i sprawami narodowemi, nie mogłyby, dopóki obowiązuje § 8 ustawy o stowarzyszeniach, tworzyć związku, ale związek możnaby zastąpić przez obejmujące całe cesarstwo niemieckie »Centralne towarzystwo rolniczo-przemysłowe«, do którego każdy nieposzlakowany obywatel mógłby wstąpić, a którego zarząd byłyby najwyższą powagą we wszystkich sprawach obchodzących nasz ogół i zastępowałby nam pozaparlamentarny zarząd partyjny, jaki posiadają wszystkie stronnictwa w Niemczech i zagranicą. Taka instytucya wyrwałaby nas z anarchii w jakiej żyjemy dziś, kiedy nikt nie wie, gdzie znaleść można sprawę polską, u kogo szukać należy informacyi i wskazówek w ważnych sprawach publicznych«.

Jest to faktem znamiennym, że w prasie zaboru pruskiego obecnie właśnie zjawiają się projekty centralizacyi towarzystw, akcyi wyborczej spraw oświaty i t. d. Naszem zdaniem świadczy to, jak zaznaczyliśmy na wstępie, iż świadomość konieczności działania zorganizowanego w sprawach publicznych przenika już dziś szersze warstwy.

Z GALICYI.

DOBROWOLNY KOMISARZ RZĄDOWY.

Jeszcze w zeszłym roku, jak o tem swego czasu donosiliśmy, rada gminna m. Brodów zwróciła się do Sejmu galicyjskiego z prośbą o wprowadzenie języka polskiego do gimnazyum brodzkiego, które obok jednego z gimnazyów lwowskich było obecnie jedynym w Galicyi zakładem, gdzie wykłady odbywają się w języku niemieckim. Krok ten brodzkiej reprezentacyi miasta, nawiasem mówiąc, przeważnie z Żydów złożonej, w całym kraju oczywiście bardzo dobre zrobił wrażenie, a ponieważ prośba wyszła z tej właśnie strony, po której w danym razie największych możnaby się spodziewać trudności, przeto zdawało się, że pomyślnemu i szybkiemu załatwieniu sprawy teraz już nic właściwie nie stoi na przeszkodzie. Faktycznie też Wydział krajowy bez niepotrzebnej zwłoki wypracował i przedłożył Sejmowi na najbliższej sesyi projekt ustawy krajowej, wprowadzającej do wspomnianego gimnazyum język wykładowy polski. Sejm przekazał ów projekt zwyczajnym trybem do rozpatrzenia komisyi administracyjnej, ta zaś, ku powszechnemu zdziwieniu, wystąpiła z wnioskiem, odmawiającym słusznemu żądaniu sankcyi sejmowej dla »formalnych powodów«. Wniosek komisyi przyjęty został bez dyskusyi większością głosów, owe »formalne« jednak powody wyszły dopiero teraz na światło dzienne. Oto pokazuje się że moralnym sprawcą uchwały Sejmowej był referent komisyi administracyjnej, który pomieszał najniepotrzebniej w świecie sprawę języka wykładowego z kwestyą prestacyj szkolnych, opłacanych na rzecz gimnazyum przez gminę m. Brodów. Odnalazł mianowicie w umowie, jaką w r. 1883 ówczesna zniemczona rada brodzka zawierała z rządem, punkt, obowiązujący tęż radę do ponownych prestacyi pod warunkiem, że język wykładowy nie będzie zmieniony i na tej podstawie, obawiając się snać, wbrew prośbie obecnej rady gminnej i wbrew projektowi Wydziału krajowego, aby wysoki c. k. rząd nie poniósł przypadkowo większych na utrzymanie zakładu wydatków, przedłożył wniosek odmowny.

Rzecz najciekawsza, że w chwili, gdy klasyczny ów wniosek stanął na porządku dziennym obrad sejmowych, w całej izbie nie znalazł się ani jeden poseł, któryby p. referentowi komisyi administracyjnej, spełniającemu z zapałem, godnym lepszej sprawy, rolę komi arza rządowego, dał doraźną lekcyę obowiązków i godności poselskiej. Byłoby bardzo pożądanem, ze względów zasadniczych, aby wyborcy p. referenta przypomnieli mu to na najbliższym sejmiku relacyjnym lub przy następnych wyborach. Zachowanie się jego w tej sprawie świadczy zresztą najlepiej o wartości t. zw. kandydatur rządowych, które ciężą prawdziwą zmorą na ludzie galicyjskim.

Obecnie deputacye z miasta i powiatu brodzkiego zjawiły się ponownie u marszałka krajowego z prośbą o spolszczenie gimnazyum. Może tym razem dobrowolni komisarze rządowi umilkną.

CHIRURG - POLITYK.

Zacięta, konkurencyjną zawiścią mocno pachnąca polemika wywiązała się przed kilku dniami między *Słowem polskiem* i *Dziennikiem polskim* o brzmienie słów, jakie wygłosił do cara w Petersburgu, podczas przyjęcia prezydyum moskiewskiego zjazdu lekarzy, znany chirurg i profesor uniwersytetu lwowskiego dr. *Rydygier.*

Prof. Rydygier znalazł się na audyencyi jako jeden z prezesów tegoż zjazdu, a przedstawiony z kolei carowi oświadczył według relacyi *Słowa*, iż »czuje się szczęśliwym, że ma sposobność podziękowania i m i e n i e m P o l a k ó w z a ł a s k i, jakie cesarz raczy świadczyć rodakom, naszym w Królestwie Polskiem«. Redakcya *Słowa*, podając to klasyczne przemówienie, zaopatrzyła je odrazu w przyzwoity i wcale rozsądny komentarz, zauważyła mianowicie od siebie, że szanowny profesor, któremu widocznie po sutych przyjęciach przewróciło się chwilowo w głowie, palnął kapitalne głupstwo, przemawiając imieniem narodu, do czego go nikt nie upoważniał, i dziękując za łaski, istniejące chyba tylko w bujnej wyobraźni.

Wyprowadzony z równowagi tym komentarzem *Dziennik polski* podjął się na ślepo obrony lwowskiego profesora i zarzucił *Słowu* ni mniej ni więcej tylko sfałszowanie słów petersburskich dra R. Trafił jednak tym razem, jak kulą w płot. Pokazało się bowiem, że relacya *Słowa* była zupełnie autentyczną, że nawet podobno wyszła od samego mowcy. *Czas*, któremu niefortunny chirurg-polityk, jak mówią, również własnoręcznie historyczne swe przemówienie zatelegrafował, (świadczy o tem i sposób ułożenia depeszy), potwierdza treść słów wyrzeczonych, choć w innej nieco formie. Podług *Czasu* bowiem prof. R. zaznaczył, że »chwyta tę sposobność, aby jako Polak podziękować monarsze za ł a s k a w o ś ć, rodakom naszym w Królestwie Polskiem okazywaną«.

Tam więc »łaski«, tu — »łaskawość«, co na jedno wychodzi.

Wszelkie zresztą wątpliwości, jeśliby jakie zachodzić mogły, byłby niewątpliwie rozwiał sam prof. Rydygier, który już powrócił do Lwowa i o całej polemice z pewnością dokładnie został powiadomiony. Skoro to nie nastąpiło, przyjąć trzeba skompromitowanie się szanownego chirurga jako fakt niezaprzeczony, a doniosłość tej kompromitacyi

osłabić może do pewnego stopnia tylko łagodząca okoliczność, że jak wiadomo, sława i uzdolnienie naukowe nie zawsze chodzą w parze z wytrawnością i mądrością polityczną. *Dziennikowi polskiemu* zaś, którego niepowołana obrona tym razem szczerze zabawny przedstawiała widok, wyrazićby można jedynie głębokie współczucie.

KSIĄDZ GERMANIZATOR.

Pisaliśmy już kilkakrotnie, że niemczyznę w Białej popierają gorliwie niektórzy Polacy, należący do inteligencyi miejscowej. P. starosta Kuryłowski miał tam godnego pomocnika w ks. Czyżewskim, którego niedawno właśnie ks. biskup Puzyna przeniósł z Białej do Niepołomic. Dzienniki niemieckie — żydowsko-liberalna *Silesia i Bielitz-Bialaer Anzeiger* — wylewają łzy żalu po utracie ks. Czyżewskiego, uważając przeniesienie jego za krzywdę, wyrządzoną niemczyźnie. Nazywają go te pisma *deutscher Priester*, *ein Mann von deutschen Bildung*, który w roli przewodniczącego towarzystwa czeladników niemieckich wielkie położył zasługi, który od propagandy polskiej trzymał się zdaleka i nie chciał należyć do »wojujących« towarzystw polskich. Ponieważ nie chciał być *Hetzprediger'em* Polacy denuncyowali go przed biskupem. Deputacya towarzystwa czeladników niemieckich prosiła biskupa o zostawienie ks. Czyżewskiego w Białej, ale dostała odpowiedź odmowną.

Bliższych szczegółów o działalności ks. Czyżewskiego nie mamy, ale dostatecznie ją charakteryzuje ten fakt, że władza duchowna, tak zwykle pobłażliwa w podobnych wypadkach, musiała go usunąć. Szkoda, że w Niepołomicach nie ma starostwa, bo, doprawdy, szkoda rozdzielać p. Kuryłowskiego z ks. Czyżewskim.

W SPRAWIE MORSKIEGO OKA.

Galicyjsko, względnie polsko-węgierski spór o Morskie Oko przeszedł obecnie w stadyum, bliskie stanowczego rozstrzygnięcia. Że orzeczenie sądu rozjemczego, jakie ma zapaść niebawem, powinno być dla nas pomyślnem i zawrzeć w sobie ostateczne uznanie historycznych, pisanych i zwyczajowych praw Galicyi do terytoryum spornego, naszem zdaniem najmniejszej nie może ulegać wątpliwości.

Utarło się u nas błędne mniemanie, że zarówno rząd zalitawski jak i ogół społeczeństwa węgierskiego szczególną do posiadania Morskiego Oka przywiązują wagę. Tymczasem jest faktem, że przeciętny Węgier ledwo gdzieś kiedyś o istnieniu tej perły tatrzaskiej zasłyszał i że go ona w ogóle bardzo słabo obchodzi, że, dalej, rząd węgierski pragnąłby się za jakąkolwiek cenę pozbyć kłopotu, jaki mu ta sprawa narobiła, że wreszcie owo niesłychane zainteresowanie się Węgrów rzeczonym sporem istnieje tylko na szpaltach pewnego odłamu prasy węgierskiej, któremu na mąceniu wody w tym wypadku bardzo zależy.

Od jednego z najlepszych może znawców sprawy Morskiego Oka, znanego publicysty, zamieszkałego w Budapeszcie p. Franciszka H ü b e r a, który niedawno zamianowany został członkiem korespondentem muzeum polskiego w Rapperswylu, otrzymaliśmy kilka interesujących szczegółów, słuszność powyższych uwag całkowicie stwierdzających. P. Hüber zasłużył się niemało około wyświetlania praw naszych w prasie węgierskiej i w sferach rządowych. »Jeszcze z początkiem 1895 roku, pisze nam, udałem się do ministerstwa spraw wewnętrznych i zagadnąłem radcę sekcyjnego Szekelyego o powody, dla których rząd węgierski tak uparcie słusznemu żądaniu Galicyi się sprzeciwia. Otrzymałem odpowiedź, że rząd musi się liczyć z namiętnym tonem dzienników węgierskich. Na to ogłosiłem (w czerwcu 1895 r.) w *Politikai Hetikemle* artykuł, zestawiając silne dowody Polaków z słabymi argumentami rządu zalitawskiego, redakcya zaś dodała od siebie uwagę, że społeczeństwo węgierskie absolutnie żadnych przeszkód załatwieniu sporu stawiać nie będzie, skoro pretensye Galicyi okażą się uzasadnionemi, a to dlatego, że już ze względów politycznych musi większą wagę przykładać do sympatyi i przyjaźni Polaków, niż do Morskiego oka. Odnośny numer tego dziennika rozesłałem do ministerstwa spraw wewnętrznych, do wielu posłów i do wszystkich redakcyj pism galicyjskich.

»W jednym z następnych artykułów wskazałem, że publiczność i ogół prasy węgierskiej z największą obojętnością do tej sprawy się odnosi, nie wahałem się stwierdzić, że Morskie Oko jest dla Węgrów *terra incognita*, że rzadko który Węgier w ogóle wie coś o niem, i że w żadnej szkolnej książce węgierskiej nie znajdziesz wzmnianki dotyczącej Morskiego Oka. Żaden dziennik węgierski twierdzenia tego nie odparł.

»Wspomniałem również przy tej sposobności o znamiennej relacyi delegatów spiskiego komitatu, którzy w r. 1887 jeszcze wręcz oświadczyli, że poprostu nie opłaci się wchodzić w rokowania o to sporne terorytoryum, które żadnych ważniejszych interesów państwowych nie dotyka. Gdyby Spiżanie byli uważali Morskie Oko za swoją własność, relacya ich z pewnością byłaby brzmiała inaczej. Uwagi moje w tym przedmiocie drukował *Egyetertés* w kwietniu 1896 r.

»Pragnąc się wszakże o usposobieniu ludu spiskiego przekonać osobiście, z rozmaitych miejscowości tego komitatu zażądałem bliższych wiadomości. Otrzymałem odpowiedzi, nawet do pewnego stopnia zadziwiające. I tak np. z *Lewoczy* pisano mi ze strony nader poważnej, że ludność tamtejsza już nie obojętnie przygląda się sporowi, ale wyraża nawet życzenie aby Polacy w nim zwyciężyli, w przeciwnym razie bowiem »samolubny« ks. Hohenlohe zabroni publiczności wstępu na terytoryum, podczas gdy hr. Zamojski na każdym kroku uprzejmość wszystkim okazuje. Podobny list doszedł mnie z *Kesmarku*«: Ze wszech miar byłoby pożądanem żeby Morskie Oko w zupełności przyznano Polakom, bo ks. Hohenlohe wtedy nikogoby do dóbr swoich nie wpuścił«.

»Cytaty te dowodzą chyba nienajgorzej, jaka to »gorączka« wśród Węgrów panuje w sprawie Morskiego Oka. Po pewnym czasie spotkałem się znów z referentem Szekelym, który na przedstawienia moje odrzekł dosłownie: »Zapewniam Pana, że w rzeczywistości wcale nam na posiadaniu Morskiego Oka nie zależy, boć to zbiorowisko skał nie przynosi państwu ani 20 ct. dochodu, musimy jednak chronić *prestige* państwa węgierskiego...« A więc nie chodzi o prawo, tylko o utrzymanie powagi państwowej!...

»Skorzystałem z tej rozmowy i zużytkowałem ją w następnych artykułach, powołując się między innemi na namiętny ton prasy galicyjskiej, na niechęć Polaków, objawioną podczas wystawy tysiącolecia Węgier i t. p.

»Ostatnimi czasy zwróciłem się ponownie do kilkunastu wybitnych osobistości z prośbą o pośrednictwo w decydujących sferach. Byli to między innymi: Koloman Tisza, Dezydery Szilagyi, Edmund Gajary, Albert Berzeviczy, Koloman Thali, hr. Apponyi, Maks Falk, Maurycy Jokai, Aleksander Wekerle, Ludwik Gernatony. Od wszystkich odbierałem zapewnienia, że »żądaniu Polaków stanie się w pełni zadość«.

Niedaleka przyszłość pokaże, czy się to ziści.

Z KRESÓW.

BISKUP KOPP I TOWARZYSTWA POLSKIE.

Biskup wrocławski, kardynał Kopp wydał rozkaz, ażeby księża rozwiązywali istniejące na Śląsku od 20 i więcej lat towarzystwa św. Aloizego, a raczej, żeby zamieniali je na bractwa. Są to towarzystwa polsko-katolickie, do których przeważnie należą młodzieńcy już dorośli.

Rozkaz biskupa wywołał powszechne oburzenie, bo jednocześnie niemieckie *Jünglingsvereiny* cieszą się poparciem władzy kościelnej. Towarzystwa pod wezwaniem św. Aloizego nie zajmowały się wcale polityką, jedyną ich winą, w przekonaniu biskupa-germanizatora, jest używanie języka polskiego. W Bytomiu — pisze *Katolik* — odbyło się z powodu powyższego rozkazu biskupa zebranie miejscowego towarzystwa św. Aloizego, na którem miano obradować nad majątkiem towarzystwa. Członkowie licznie się zebrali; również przybyli ks. dziekan Myśliwiec, protektor, i ks. kapelan Zientek, prezes towarzystwa. Ks. dziekan M. zalecał, aby majątek rozwiązanego towarzystwa przeznaczono na budowę kościoła nowego w Rozbarku. Na to odezwał się członek Jurczyk, iż towarzystwo nie jest rozwiązane, bo przecież członków o to nie pytano. Towarzystwo będzie istnieć dalej, dla tego narady dalsze nad majątkiem są zbyteczne. Również gospodarz Kasper Tokusz i górnik Jan Zdechlikiewicz, którzy razem z innemi dawniejszymi członkami zaproszeni przybyli na zgromadzenie, odezwali się za dalszem istnieniem towarzystwa, założonego przez 26 laty przez ś. p. ks. Bonczka. Wtedy księża opuścili salę. Towarzystwo w dalszym ciągu zgromadzenia zmieniło statut o tyle, że prezesem może być świecka osoba i wybrało prezesem p. Kaspra Tokusza. W podobny sposób postąpiły towarzystwa w Laurahucie, Szobiszowicach, w Królewskiej Hucie, w parafii św. Jadwigi i w Kamieniu. Rozwiązało się jedno tylko towarzystwo w Królewskiej Hucie, w parafii św. Barbary, ale tamże w kilka dni później założono nowe towarzystwo młodzieży polsko-katolickiej, pod wezwaniem św. Stanisława Kostki. O innych towarzystwach nie ma dotychczas wiadomości, niewątpliwie jednak większość pójdzie za danym przykładem i albo zmieni ustawę, albo po rozwiązaniu przekształci się w nowe towarzystwa. Zmiana ustawy jest konieczną, bo dotychczas prezesem towarzystwa był zawsze proboszcz miejscowy.

Biskup Kopp nie spodziewał się zapewne takich skutków swego rozporządzenia, które przyśpieszyło tylko wyzwolenie się ludu polskiego z pod wpływów niemieckiego lub zniemczonego duchowieństwa. Zachowanie się wymienionych wyżej towarzystw dowodzi, że świadomość narodowa ludu polskiego na Górnym Śląsku już się obudziła. To już nie katolicy, mówiący po polsku, ślepo posłuszni rozkazom duchowieństwa, ale prawdziwi Polacy, którzy nawet władzy kościelnej nie pozwolą uszczuplać swych praw narodowych, obrażać swego poczucia narodowego. Działalność germanizatorska ks. Koppa przyśpiesza rozwój świadomości politycznej ludu górno-śląskiego, jego patryotyzm polski wzmacnia, a wpływ duchowieństwa osłabia.

Odczuje to z pewnością stronnictwo centrum przy wyborach przyszłorocznych. Próbowało ono nawiązania kompromisu, żeby odzyskać wpływ utracony na Górnym Śląsku, ale ks. Kopp znowu stosunki między Polakami i Niemcami, a zwłaszcza duchowieństwem niemieckim zaostrzył i mimowoli zaagitował skutecznie na rzecz naszych kandydatów narodowych.

JĘZYK POLSKI W STOSUNKACH URZĘDOWYCH NA ŚLĄSKU AUSTRYACKIM.

Jakkolwiek niedawno znowu urzędy na Śląsku otrzymały polecenie, ażeby wezwania wszelkie posyłały stronom w języku ojczystym, urzędnicy piszą wciąż i przemawiają do interesantów po niemiecku. P. Franciszek Friedel, redaktor *Głosu ludu śląskiego*, wychodzącego we Frysztacie, nie przyjął wezwania ze starostwa, ponieważ było wystosowane w języku niemieckim i zażądał wezwania polskiego. Na drugi dzień *przymusowo* doręczono mu wezwanie niemieckie. Posłuchajmy, jak p. Friedel opisuje dalszy ciąg tej sprawy w podaniu, wysłanem do ministra skarbu:

»Na tem jeszcze nie koniec. W piątek 20. b. m. udałem się wskutek wezwania do c. k. radcy skarbowego p. Schwarza, celem złożenia protokołu w sprawie podatku zarobkowego, i przy tej sposobności interpelowałem go co do załączonego wezwania, na co otrzymałem odpowiedź: „*Bei uns ist die Amtsprache deutsch und wir schicken nur deutsche Vorladungen aus*“. Zwróciłem p. radcy uwagę, żeby do mnie mówił po polsku, a co do wezwania żądałem wyjaśnienia, skąd w razie takiego niemieckiego absolutyzmu przychodzi »czeski« druk na odwrotnej stronie wezwania. Otrzymałem jednak odpowiedź: „*Was wollen Sie von mir haben? Wenn es Ihnen nicht recht ist, werde ich Sie bestrafen lassen*“. Na te słowa odezwałem się: »Wypraszam to sobie po raz drugi i żądam, żebyś pan mówił do mnie po polsku, a zresztą ja przychodzę złożyć protokół i nic więcej«. P. radca zamiast uczynić zadość mojemu życzeniu, zaczął znów dalej po niemiecku wygadywać, wskutek czego odezwałem się, że choćby trzy dni do mnie po niemiecku mówił, to ja go słuchać prędzej nie będę, aż zacznie według mojego życzenia po polsku do mnie przemawiać.

»P. radca przestał mówić — otworzył drzwi i wyprosił mnie za drzwi! Tak postąpił sobie radca skarbowy we Frysztacie, który pomimo kilkakrotnego żądania nie przemówił do mnie *ani słówka po polsku*“.

Jeżeli zuchwały Niemiec tak brutalnie obszedł się z człowiekiem wykształconym, redaktorem pisma, to łatwo wyobrazić sobie w jaki sposób postępuje on i jemu podobni z robotnikami lub chłopami polskimi.

Nie lepiej przedstawiają się stosunki w sądownictwie. Według gazety czeskiej, *Lidowe Nowiny*, w Cieszynie jest 4 sędziów Niemców, 2 Czechów, a Polaka nie ma ani jednego. To samo w wyższym sądzie krajowym w Bernie, dokąd idą w drodze apelacyi sprawy sądów śląskich. Na Śląsku i na Morawach z 6 posad prezydyalnych jedną tylko zajmuje Czech. Polaka prezydenta sądu nie ma wcale. Spodziewano się, że przy reorganizacyi sądownictwa zmienią się stosunki, tymczasem na wszystkie nowe posady przedstawiono do awansu tylko Niemców. Wiceprezydentem sądu w Cieszynie zostaje niejaki, Zastiera który ani po polsku, ani po czesku nie umie słówka.

Takie stosunki dłużej trwać nie mogą. Dotychczasowa działalność patryotyczna na Śląsku, mająca charakter samopomocy narodowej, nie wyda odpowiednich rezultatów, dopóki prawa tamtejszej ludności polskiej nie będą szanowane. Musi zacząć się walka nie tyle o zdobycie praw, ile o wykonywanie już istniejących. Czują to Niemcy i dla tego krzyczą o podburzaniu »spokojnego« Śląska. Lud śląski zrozumiał również konieczność walki i na zebraniach ludowych, świeżo n. p. na wiecu »Związku katolików« w Stonawie zapadły uchwały, domagające się równouprawnienia języka polskiego w urzędach i sądach. W tej walce Galicya przedewszystkiem okazać może skuteczną pomoc, Ślązakom zmuszając, pod naciskiem opinii publicznej Koło polskie do energiczniejszego wystąpienia w sprawach śląskich.

CIEKAWE OGŁOSZENIE.

W wyjątkowych wypadkach, np. podczas epidemii, władze pruskie używają w ogłoszeniach urzędowych języka polskiego. W Bytomiu na Górnym Śląsku sroży się obecnie tyfus i przerażona postępami epidemii policya miejscowa wydała po polsku »obwieszczenie«, pouczające mieszkańców, jak się mają zachowywać. To, ciekawe ze względu na język, styl i ortografię, »obwieszczenie«, przytaczamy bez zmiany.

»Z powodu uzywania Wody z Gruby Karsten-Centrum się tutaj Tyfus rozszyza i chociarż ta Choroba dość słabo przebiega to jednak chcemy powtornie tych pomieszkańców Miasta na te przepisy, które przy rosszerzaniu zarazliwych Chorob każdemu majom bydź wiadome upominac i do ścisłego zachowania tychże przepisów rozkazować. Najprzod się trzeba strzedz przed uzywaniem zimnych Napojów. Takowe zprowadzajom chorobę Zołondka i Kiszek i czynią człowieka łatwem dla większych chorob.

»Tak samo przestrzegamy od urzywania niewarzonego Owocu, niewarzonego Mleka i niewarzonej Wody z Gruby Karsten-Centrum. Tysz i do obmywania czyszczenia wszelkiego Narzędzia do picia i jadła jako potraw jako do wszelkiej potrzeby domowej prosimy tylko Wodę odwarzoną albo z Krolewskiego kunsztu Leitungu potrzebuwać.

»Tak samo się potrzebuwać nalezy odwarzonej wody albo z krolewskiego kunsztu do wypłokania Gęby.

»Przy rozchorowaniu na Tyfus dolny — Unterleibstyphus — te zarazliwe cząstki się osobliwie w tych wychodach dolnych albo wyrzutach górnych zatrzymują przeto potrzeba takowe czemprędzej z pomieszkania chorych oddalic i do Abtrytów wylać. Naczynia których się do Wychodow dla chorych zarzywa powinne bydź az do czwartej Części rzadkiem Wapnem napełnione.

»Pozostałe potrawy po chorych nieśmiom bydz od zdrowych jedzone tylko zaraz do Abtryta wylane.

»Zapachy nieprzijemne są bez przypuszczenia swierzego Powietrza z izby do oddalenia.

»Zupełna czystośc pomieszkań, częste przypuszczanie swieżego powietrza i. t. d. są najlepszem skutkiem naprzeciw Tyfusu. Na ostatku są do oddalenia choroby te zwyczajne jako dobre uznane srodki lekarskie jako też miejscy Desinfectorzy do urzycia. Dalej uwiadomiamy ize kazdy pzypadek Choroby zarazliwej musi bydź czemprędzej policyi miejscowej meldowany a ize powinność do takowego meldowania nietylko lekarze ale i wszyscy Ojcowie, Gospodarze jako i Szynkierze mają.

»Przy każdem rozchorowaniu trzeba zaraz ku choremu lekarza wołać«.

Urzędnicy, którzy tak piszą i mówią po polsku układają referaty dla władz wyższych o pismach polskich i zdają sprawę z posiedzeń naszych towarzystw.

JĘZYK POLSKI W SZKOŁACH KRESOWYCH.

Próbkę skutecznej walki o wprowadzenie języka polskiego w szkołach ludowych na kresach daje czerniowiecka *Gazeta Polska:*

W bezpośredniem sąsiedztwie z miasteczkiem Sadogóra, w starostwie czerniowieckiem, leży wieś Rohoźna. Podług urzędowego spisu ludności w r. 1890 mieszkało tam stale: 2217 Rusinów, 1272 Niemców (przeważnie żydów), 427 Polaków i 9 Rumunów. Jak wykazują księgi parafialne, liczba Polaków od tego czasu wzrosła do 650, a dzieci polskich, obowiązanych do nauki szkolnej, jest tam 70. Szkoła miejscowa, dawniej dwuklasowa, ma język wykładowy ruski. Do r. 1870 uczono w niej także Polaków języka polskiego, później wszakże naukę tę zniesiono.

Gdy w r. 1995 starosta czerniowiecki przyjechał do Rohoźny w sprawach szkolnych, rodzice polscy prosili go o przywrócenie nauki języka ojczystego dla ich dzieci. Odpowiedziano im: »Kiedyście Polacy, to idźcie sobie do Krakowa!« Dowcip (?) ten nie zraził wszakże rohozniańskich Polaków. W poczuciu słuszności swojego żądania, wystosowali prośbę do rady szkolnej krajowej. i czekali rok przeszło na odpowiedź — odmowną. I to ich jednak nie powstrzymało od dalszych starań. Załączywszy mianowicie klasyczny reskrypt rady szkolnej krajowej, zwrócili się na początku bieżącego roku z zażaleniem do ministerstwa oświaty. Tam sprawa doczekała się znacznie rychlej załatwienia, niż w kraju. Już bowiem z końcem lipca Ministerstwo za pośrednictwem władz szkolnych przesłało zarządowi gminy Rohoźna odpowiedź następującą:

Minister wyznań i oświaty, reskryptem z 20. lipca 1897 l. 17624 uznał za stósowne rozporządzić, że w szkole ludowej rohozniańskiej, począwszy od klasy I, ma być udzielana dwa razy w tygodniu nauka języka polskiego dzieciom szkolnym, których językiem ojczystym jest polski...

Zwycięztwo to — dodaje od siebie *Gazeta* — dwojaką ma doniosłość: z jednej strony cechuje ono niedwuznacznie prąd, wiejący od administracyi szkolnej na Bukowinie, prąd, w wysokim stopniu nieprzychylny polskiemu językowi i jego najsłuszniejszym prawom, z drugiej jest wskazówką że wśród stosunków obecnych jedynie skuteczną jest dla nas droga instancyi do Wiednia.

Nam się zdaje, że droga to najskuteczniejsza, w ogóle nietylko teraz, ale zawsze i nietylko dla Bukowiny, ale tak samo i dla Śląska, bo wskazana ustawami zasadniczemi, do których władze naczelne w państwie, bez względu na osobiste sympatye lub przekonania przedstawicieli, ostatecznie stosować się muszą. W tym wypadku zwycięztwo, odniesione nad nienawistną dla naszego żywiołu butą kacyków miejscowych, jest niewątpliwie zasługą jednego może, lub kilku energicznych ludzi, którzy rozumnie i wytrwale kierując akcyą, zdobyli się na wyczerpanie całego toku instancyi. Zwycięstwo to jest zarazem przykładem do naśladowania i w innych miejscowościach kresowych. Podobne stosunki, jak w Rohoźnie, panują w wielu innych wsiach bukowińskich zarówno jak śląskich, tylko że nie wszędzie ludność sama jest na tyle praw swoich świadoma, aby o własnych siłach je wywalczać mogła. Piękne pole do szlachetnego współzawodnictwa otwiera się tu przedewszystkiem dla kresowych oddziałów towarzystwa szkoły ludowej, których zadaniem nietylko szkoły budować, ale i zapewniać w szkołach już istniejących uznanie i prawa, językowi naszemu należne.

Z WYCHODZTWA I KOLONII.

DEMONSTRACYA POLSKA.

Berliner Neueste Nachrichten opowiedziały swoim czytelnikom straszną historyę o demonstracyach polskich w Berlinie, którą powtórzyło zaraz kilka innych dzienników. W Grünau, w bezpośredniem sąsiedztwie stolicy Prus i Niemiec zebrało się w niedzielę towarzystwo polskie pod nazwą tajemniczą »Kuczanowski« (?!) i przybywszy na miejsce uszykowało się do pochodu w ordynku bojowym, z 6 muzykantami na czele. W demonstracyi brało udział około 40 osób, przybranych »rażąco« w polskie narodowe barwy biało-czerwone i biało-niebieskie (?). Kobiety niosły obręcze i sztaby (?) biało-czerwone, jakaś dziewczynka miała na sobie biało-czerwono-niebieską szarfę, a dwaj

młodzieńcy takież kokardy trójbarwiste. Jeden z uczestników »posunął zuchwalstwo do tego stopnia«, że wsadził sobie na głowę »polską czapkę« (konfederatkę) z czerwonego sukna z białym barankiem? Ale to nic jeszcze nie znaczy wobec faktu, który po prostu przeraził korespondenta: myzyka grała polską rewolucyjną melodyę »Taczanowski dobry był«. Na szczęście deszcz przeszkodził dalszym wybrykom demonstrantów i przed wieczorem całe towarzystwo opuściło lasek, ale chociaż już nie wracało w szeregach, muzyka wciąż wygrywała »Taczanowskiego«.

Takiemi śmiesznemi opowiadaniami o demonstracyach polskich dzienniki hakatystowskie straszną naiwną opinię publiczną niemiecką dosyć skutecznie. »Brandenburczycy, którzy się boją tylko Boga« są w gruncie rzeczy tchórzliwymi filistrami, lękającymi się trochę w swej głupocie i »polskich powstańców«, nie mówiąc już o strasznych kozakach. Przed kilkoma laty w pewnem dosyć dużem miasteczku w Prusiech Zachodnich powstał formalny popłoch na wieść, że »polscy powstańcy« w sojuszu z kozakami wkroczyli w granice państwa pruskiego.

Ma się rozumieć, to straszna demonstracya, a z widoczną przesadą opisana, była po prostu zwyczajną wycieczką niedzielną jednego z polskich towarzystw berlińskich. W Berlinie i sąsiednich miejscowościach (Charlottenburg, Weissensee i in.) liczą trzydzieści kilka towarzystw polskich, oprócz paru socyalistycznych. Hakatystom te towarzystwa polskie w Niemczech, zwłaszcza w Berlinie, korzystające ze względnej swobody, oddawna są solą w oku i chcieliby skłonić władze do zastosowania względem nich zarządzeń wyjątkowych. W tym celu obrabiają opinię publiczną, strasząc ją demonstracyami polskiemi, za pomocą wypróbowanych środków, jak biało-czerwone chorągwie, konfederatki, a zwłaszcza ów »Taczanowski«, który nie jednemu może mieszczuchowi niemieckiemu strachu napędził.

PRZEGLĄD PRASY.

= Wychwalany niejednokrotnie przez nasze pisma ugodowe p. Nabliudatiel (Makgrafskij) dowodzi w *S. Pieterb. Wiedomostiach*, że rząd bez współudziału lojalnie usposobionej inteligencyi polskiej nie może pozyskać pożądanego i skutecznego wpływu na lud. Rząd obecnie pragnie oprzeć się na żywiołach zachowawczych, szlachcie i duchowieństwie, i ma nadzieję, że przynajmniej „szlachta polska zasili prąd pojednawczy“, zwłaszcza w sprawie oświaty ludu. Sojusz pod hasłem »szlachta polska z carskim rządem« łatwo może dojść do skutku i wydałby oczekiwane przez p. Nabliudatiela rezultaty, gdyby nie przeciwdziałały »żywioły skrajne: socyalni demokraci, socyalni patryoci (?), demokraci ludowcy“ i t. d., które nie zasypiają sprawy i starają się opanować lud polski, wychować go politycznie i przerobić na swoją modłę«. P. Markgrafskij cytuje drukowany w piśmie naszem program stronnictwa demokratyczno-narodowego, zwłaszcza punkty dotyczące oświaty ludu. Jako żandarm fachowy wie on bądź co bądź lepiej, niż dobrowolni żandarmi lwowscy i krakowscy, jakie ma znaczenie i jaką siłę przedstawia to stronnictwo w zaborze rosyjskim:

„Niestety — powiada — ten program polskich demokratów narodowych — nie jest nowym pomysłem jakiejś nielicznej grupy niepoprawnych marzycieli, ale wszedł w krew i ciało pewnej części inteligencyi polskiej, oddawna jest stosowany w praktyce, ma dziesięć (?) tysięcy zwolenników i wyznawców i do pewnego stopnia zdążył już wywrzeć wpływ demoralizujący na uczącą się młodzież, a nawet poniekąd na masę ludową.“

Przekonani jesteśmy, że »wpływ demoralizujący naszego programu« na masę ludową coraz częściej p. Markgrafskij będzie musiał zaznaczać i w urzędowych raportach i w literackich wypracowaniach. Niechaj się łudzi nadzieją, że:

„prawomyślna część społeczeństwa polskiego powinna okazać i spodziewamy się okaże rządowi czynne poparcie w walce z podobnymi prądami.“

„Wspólna praca« rządu z lojalnemi sferami społeczeństwa polskiego już się zaczyna. Władza szkolna »pieści« *(lelejet)* myśl zakładania czytelni i bibliotek ludowych, ma się rozumieć polsko-rosyjskich i odpowiednio dobranych, a jakiś »wielki kapitalista« opracował projekt „towarzystwa podniesienia dobrobytu ludu«, naturalnie, pod bacznym dozorem władzy. Bo:

„u nas nietylko jest koniecznem, ale nadzwyczaj pożądanem mówi autor projektu, żeby władze pozostawały w ścisłym stosunku z instytucyą, dopomagając do jej rozwoju i kontrolując ją stale“.

Nietyle jednak na tę „wspólną pracę«, ile na przyjazd cara liczy p. Nabliudatiel. Spodziewa się on, że pod wrażeniem tej chwili historycznej:

„Społeczeństwo polskie, przejęte „prawdziwym patryotyzmem“, samo wyrzuci z łona swego te ciemne żywioły, które przeszkadzały bratniemu zjednoczeniu się dwóch pokrewnych narodów“.

Dobry jest ten „prawdziwy patryotyzm«, na który wydaje patent pułkownik żandarmów rosyjskich. No, i dobra jest logika tego pułkownika, który przyznaje, że program »skrajnych żywiołów« przyjęła i wyznaje znaczna część społeczeństwa, a mimo to spodziewa się, że to społeczeństwo będzie mogło wyrzucić z siebie »ciemne żywioły«, stanowiące niewątpliwie większość. »Wspólna praca« inteligencyi lojalnej z rządem ten już tylko mieć będzie dziś skutek, że lud polski odwróci się od tej inteligencyi zupełnie, chociażby nawet udało jej się zwerbować do swoich szeregów nietylko biskupów, ale i duchowieństwo wogóle, czego zresztą nie przypuszczamy.

= Powodzie zrządziły wielkie szkody na Śląsku. Nietylko rząd, ale i miasta oraz różne instytucye ofiarowały pewne, czasem nawet dosyć znaczne sumy na dotkniętych klęską rolników śląskich. Lecz i w tym wypadku Niemcy przedewszystkiem pomyśleli o swoich. Konserwatywny Związek rolników niemieckich zapomogi z ofiar, będących w jego rozporządzeniu rozdał tylko swoim członkom. Oburzyły się na takie postępowanie wolnomyślne pisma niemieckie, ale i wolnomyślni — czytamy w *Nowinach raciborskich* — nie są lepsi:

„Wolnomyślny magistrat i wolnomyślni radni miasta Wrocławia wyznaczyli dla powodzian 100.000 marek, ale uchwalili przytem, aby sumę tę użyć tylko dla obwodów regencyi wrocławskiej i lignickiej. Obwód regencyi opolskiej przeto został całkiem wykluczony. Może wrocławska rada miejska sądziła, że zamieszkali w obwodzie opolskim Polacy więcej są zaradni od Niemców, zamieszkującyeh dwa inne obwody, i dla tego nie uważała za potrzebne pospieszyć im z pomocą“.

Poznańskie ucierpiało w tym roku z tych samych, co i Śląsk powodów, jak również Galicya, a Warszawa i wogóle zabór rosyjski wyczerpały zapewne swoją ofiarność na fundacyę dla cara. Nie pospieszymy więc Ślązakom z pomocą, chociaż i w tym wypadku niewielka nawet ofiarność nasza miałaby doniosłe znaczenie polityczne, donioślejsze niewątpliwie, niż złożenie miliona rubli na przytułek mikołajewski. Dawniej Warszawa zawsze w podobnych okolicznościach hojnie sypała składki, ale polityka ugodowa, jak to już kilkakrotnie zaznaczono (np. w sprawie pomnika Kościuszki w Krakowie) osłabiła poczucie łączności narodowej, zwracając uwagę społeczeństwa wyłącznie na stosunki miejscowe.

= *Goniec wielkopolski* wyznaje widocznie popularną niegdyś u nas zasadę, że Polacy są wyjątkowym w dziejach narodem, dowiedziawszy się bowiem, że »na bezpośredni rozkaz cara« (?) cofnięto w Warszawie rozporządze-

ie policyi, nakazujące podczas wjazdu Mikołaja II zamnięcie wszystkich drzwi i okien — tak o tem pisze:

„Cieszy nas to wielce, że carowi Mikołajowi II znany jest duch, jaki ożywia naród polski od samego początku jego dziejów. Naród polski nie splamił się królobójstwem; nie mieliśmy nigdy Rawaliaków i Clement'ów, nie mieliśmy Nobilingów, Angelillów i tym podobnych skrytobójców, co dla celów politycznych nie wahają się z zasadzki czychać na swe ofiary i podnoszą rękę na głowy ukoronowane.

„Car Mikołaj II bezpieczniejszym też czuć się może wśród Polaków pod berłem jego żyjących, aniżeli w Moskwie i Petersburgu, gdzie dziada jego Aleksandra II rozszarpały bomby dynamitowe, rzucone przez nihilistów rosyjskich".

Pismo, wychodzące w Poznaniu, powinno przynajmniej ten fakt zapamiętać, że dwa rody wielkopolskie brały udział w zamordowaniu Przemysława. Nie mówiąc o zamachach skrytobójczych na kilku książąt z domu Piastów, zaznaczyć trzeba, że Leszek Biały również zginął zamordowany. Jeżeli zaś później nie było u nas Ravaillac'ów i Clement'ów — to dla tego, że królowie polscy żadnej władzy nie mieli, nie zaś dla tego, że Polacy »od początku dziejów« mieli wrodzony wstręt do królobójstwa. Zresztą i później byli przecie Piekarski i Hołownia, którzy się porwali na Zygmunta III., i inni.

Przechodząc do czasów późniejszych, zaznaczamy, że Berezowski, który strzelał do Aleksandra II w Paryżu, był Polakiem i powstańcem z r. 1863, a ów »nihilista rosyjski«, przez którego rzucona bomba zgładziła ze świata tegoż cara, nazywał się Hryniewiecki i był również Polakiem, nawet, jak twierdzą jego znajomi, pomimo należenia do partyi socyalistycznej rosyjskiej, gorącym patryotą polskim. Jednego i drugiego wyprzeć się nie możemy i nie powinniśmy się wypierać, bo Berezowski cierpliwem i pełnem godności znoszeniem 30-letnich katuszy, a Hryniewiecki śmiercią męczeńską dowiedli, że byli ludźmi, których pamięć nawet przeciwnik polityczny uszanować musi.

Nie bronimy wcale królobójstwa, które z politycznego punktu widzenia dla tego przedewszystkiem winno być potępionem, że prawie zawsze jest bezużytecznem, a bardzo często pociąga za sobą skutki, wręcz przeciwne zamierzonym. Ale nie należy przypisywać swemu narodowi cnót urojonych, wbrew faktom znanym. To nas bowiem ośmiesza i poniża, podobnie jak przysięganie, że żaden Polak nie mógł sfabrykować bomby, którą znaleziono, zdaje się, w Hawrze po przejeździe Faure'a. Alboż to niema Polaków, naiwnych fanatyków i szaleńców? W danym wypadku okazało się, że wiadomość o leżącej jakoby obok bomby kartce z napisem *Vive la Pologne* jest wątpliwą, bo korespondent dzienników rosyjskich p. Sizin twierdzi kategorycznie, że żadnej kartki na miejscu wypadku nie znaleziono. Gdyby jednak znaleziono i gdyby nawet stwierdzono, że Polak bombę podłożył, to czegożby to dowodziło? Tego tylko, że Polacy są ludźmi takimi, jak inni, a więc *nil humanum*, nie wyłączając zamachów anarchistycznych, nie jest im *alienum*.

═ P. Piltz, jakkolwiek urzędowa i legendarna jego genealogia nie przypisuje mu ani kropli krwi polskiej, ma w swem usposobieniu dużo podobieństwa do ś. p. Filipa z Konopi. Oto i teraz wyrwał się z listem otwartym do przedstawicieli prasy francuskiej, bawiących w Petersburgu, których uroczyście zapewnia, że podłożenie bomby, (zresztą nieszkodliwe) było »czynem szaleńca nadużywającego imienia Polski« i w imieniu społeczeństwa polskiego »pozwala sobie wyjaśnić«:

„dla czego wszelka myśl manifestacyi polskiej przeciw przymierzu francusko-rosyjskiemu byłaby nielogiczną i niedopuszczalną.

„Wyjaśnienie to leży mi tem bardziej na sercu, że to właśnie chwila, w której najwyższy przedstawiciel Francyi jest gościem naszego najdostojniejszego władzcy, chwila w której Jego Cesarska Mość udaje się po raz pierwszy do swego Królestwa Polskiego, chwila, gdy oczy wszystkich Polaków zwracają się ku monarsze, który w czasie tak względnie krótkim umiał pozyskać serca wszystkich swych poddanych swym urokiem osobistym, swą wielką dobrocią, swą silną wolą zapewnienia szczęścia wszystkim ludom swego wielkiego cesarstwa.

„Jaki interes moglibyśmy mieć w nieufności względem przymierza francusko-rosyjskiego? Co zyskalibyśmy na jego osłabieniu lub rozchwianiu? Nic oczywiście. Wręcz przeciwnie: jesteśmy przekonani, że przynosi ono dla wszystkich Słowian bez wyjątku korzyść, rozwiązanie, wybawienie.

„A nawet, zanim jeszcze przymierze to stało się faktem spełnionym, istniał węzeł wspólny, łączący Słowian i Francuzów: była nim ta sama mara, ten sam wstręt wobec nazwiska złowrogiego, które uosabia cały system, nazwiska, które stało się symbolem, jako dewiza: „siła przed prawem".

W zupełnie podobny sposób, ale z większem zacięciem wygłosił swoje słowiańskie uczucia i znany p. Waszaty.

Pojmujemy, że p. Piltz, aby zareklamować i poniekąd zrehabilitować swe niejednokrotnie sponiewierane nazwisko, chwyta każdą sposobność dla zaznaczenia swojej rzekomej powagi. Ale mógłby to robić z większym taktem, w żadnym zaś wypadku nie wolno mu przemawiać ani w imieniu społeczeństwa ani w imieniu prasy polskiej.

Telegramy powitalne przysłały redakcye *Niwy*, *Przeglądu Tygodniowego* i *Gazety Warszawskiej*, t. j. pism, na których czele stoją ludzie tej samej, co p. Piltz moralnej wartości. *Quatuor meliores!*

═ Wszystkie niemal pisma polskie w Galicyi i w zaborze pruskim zamieściły artykuły z powodu przyjazdu cara do Warszawy. Z tych głosów wolnej prasy polskiej zasługuje na uwagę artykuł *Orędownika*, który nie dziwi się, że Warszawa wita uprzejmie cara:

„Narody w takiem położeniu, jak my, cieszą się, gdy po długim ucisku dostaną choć na chwilę wolniejszego oddechu. I taka chwila, choć nie długotrwała, ma swoje znaczenie, swoją wartość i słusznie znajduje swój wyraz w zewnętrznych manifestacyach. Że zaś do tego zbyt wielkiego znaczenia przywiązywać nie należy, doświadczyliśmy tego na sobie samych; powódź u nas ustąpiła, a system pruski, jak płynął tak płynie dalej — tem samem korytem.

Jest powszechnie znaną naszą wadą, jest prawdziwem nieszczęściem naszem, że do chwilowych, przelotnych wypadków, byle swą zewnętrznością nasze zbolałe serca połechtały, przywiązujemy znaczenie, jakiego one nie mają i mieć nie mogą. W polityce tak wewnętrznej jak międzynarodowej decydują siły i interesa. Tośmy powinni mieć na oku, a lepiej byśmy sobą pokierowali. Naród polski pod berłem carów — bez siły nie jest. Cały wiek klęsk i nieszczęść, całe systemy prześladowcze gnębiły go i deptały ale nie zdołały zgnębić i zdeptać.

„Naród polski pod berłem carów posiada dziś jeszcze ogromny zasób sił moralnych i materyalnych do życia, a liczbą wcale jest — nie mały. Taki naród — wysunięty na sam zachodni kraniec mocarstwa carów rosyjskich, — może być w danych chwilach bardzo potrzebny i dla carów i dla Rosyi. Nadzieje narodu polskiego zaś tylko też wtedy znajdą pod sobą grunt pewny, gdy się będą opierały na rozumieniu i uznaniu tej wzajemnej potrzeby.

Zdaniem *Orędownika*, może ze względów na stosunki miejscowe wygłoszonem:

„Zjazdowi cara wszech Rosyi do Warszawy nadaje odrębny koloryt polityczny ta okoliczność, że cesarz rosyjski przybywa do Warszawy bezpośrednio po przyjmowaniu w Petersburgu prezydenta Rzeczypospolitej francuskiej i uroczystem ogłoszeniu sojuszu między Rosyą a Francyą. Czy się to stało przypadkiem, czy nie, czy jest w tem jaki plan ukryty, już z góry w polityczną rachubę wciągnięty, czy też mający się dopiero urabiać, w te kombinacye nie wchodzimy."

═ O programie, ogłoszonym przed kilkoma miesiącami w naszem piśmie, pisze obszernie *Wolne słowo polskie*. Zaznaczywszy zgubne skutki polityki trój-lojalizmu, powiada.

Antydot na tę truciznę znajduje się nie gdzieindziej i nie w czem innem tylko w demokracyi — w demokracyi rzetelnej, nie poświęcającej spraw społecznych dla polityki,

ani polityki dla spraw społecznych, czuwającej i pracującej, a mającej na widoku Polskę ludową, całą, wolną i niepodległą.

Demokracya taka, spoczywająca na kształt materyału surowego w warstwie chłopskiej, pojmowana przez grona uświadomione i poczuwające się do obowiązku czuwania i pracowania, przejawia się w zaborach austryackim i pruskim. W zaborze moskiewskim, od czasu klęski, jaka na Polskę spadła w r. 1864, nie dawała znać o sobie. Oznaki o charakterze sporadycznym, objawy manifestacyjne, zdarzające się od czasu do czasu, „głosy“ z kraju mrocznej niewoli, pojawiające się na szpaltach pism polskich za granicami zaboru moskiewskiego i na emigracyi wychodzących, dwuznaczne zresztą słówka, wyczytywane w pismach pozostających pod dozorem cenzury moskiewskiej — oznaki te domyślać się pozwalały, że i w tym zaborze nie zanikła ona. I długo, długo nie mieliśmy stamtąd na pocieszenie i do zachęty nic innego, tylko domysły.

Obecnie — po ogłoszeniu „Programu stronnictwa demokratyczno-narodowego“ — mamy to, co zwie się pospolicie „czarno na białem“, — mamy dokument, który nas mianowicie, wychodzców, pobudzić winien do żywej w przypadającym nam zakresie działalności.

= *Zgoda*, organ Związku narodowego polskiego w Stanach Zjednoczonych tak ów program ocenia:

„Jest to fakt pierwszorzędnej wagi w życiu naszem narodowem. Stronnictwo, aczkolwiek wcale nie nowe, zostało obecnie jawnie ogłoszone i pragnie objąć szerokie koła zwolenników w ramy demokratyczno-narodowego stronnictwa. Wobec istnienia określonych ściśle partyj ugodowców z jednej strony, a socyalistów z drugiej — program tego stronnictwa trzeba było ujawnić i ogłosić. Jest on objęciem w pewną formułę rzeczywistego stanu rzeczy“.

Z OBCEGO ŚWIATA.

„PARTYKULARYZM“ NIEMIECKI.

Po zaborach, dokonanych w r. 1866 przez Prusy powstało stowarzyszenie, pod nazwą »niemieckie stronnictwo prawa«, które postawiło sobie za cel »przywrócenie dawnych stosunków w Niemczech«, a właściwie nadanie Rzeszy niemieckiej charakteru prawdziwie federalistycznego. Od lat kilku członkowie tego towarzystwa, pochodzący głównie z Hesyi, Hanoweru, Brunświku i Szlezwiku-Holsztynu, urządzają kongresy dla zwrócenia uwagi Niemców na rządy pruskie.

Czwarty kongres stronnictwa prawa odbył się we Frankfurcie nad Menem. Zagaił obrady hr. von der Decken, który zdał sprawę z działalności stronnictwa od r. 1895 i wystąpiwszy bardzo ostro przeciw »pruskiej zasadzie siła przed prawem«, tak mówił dalej:

Wzmagające się w ludności poczucie prawa słusznego i sprawiedliwego jest solą w oku rządzących partyj. Lud już nie jest olśniony blaskiem potęgi zewnętrznej — chce spokoju, zadowolenia i szczęścia. Prusy muszą zerwać z tradycyami roku 1866, jeżeli chcą uzyskać spokój. Mówca potępia militaryzm, tak srogo gniotący ludność, którą niezdolne są pocieszyć frazesy o *„Weltmacht“ i „Weltpolitik“*. Jakaż jest jedność, wolność i dobrobyt w nowem cesarstwie? Na zewnątrz Niemcy więcej są rozdarci niż kiedykolwiek, ponieważ proces prusaczenia na wewnątrz coraz postępuje. Prawdziwą — w pruskiem pojęciu — wolność charakteryzuje: wzrost militaryzmu, proces Tauscha i rządy policyjne w anektowanych prowincyach. O dobrobycie Niemców świadczą rosnące ciągle masy proletaryatu. Gwałtem wzniesione państwo *Grosspreussen* nie może zadowolić narodowo-niemieckich ideałów.

Jeden z następnych mówców, Pfister z Darmsztatu wyraził zdanie, że Austrya powinna być prawno-politycznie połączoną z Niemcami dla przeciwwagi wpływów pruskich.

Prasa polska zamało zwraca uwagi na objawy wzmagającej się reakcyi przeciw przewadze Prus. Mrzonką byłoby przypuszczanie, że jedność państwa niemieckiego może być rozbitą, ale w przyszłości przekształcenie ustroju Rzeszy w duchu federalistyczno-autonomicznym, w duchu »prawdziwie niemieckim« nie jest nieprawdopodobnem. Dla nas Polaków ta walka ducha niemieckiego z duchem pruskim jest nietylko ciekawą, ale i praktycznie ważną, należałoby więc bliżej i lepiej poznać objawy prądu, niewłaściwie może nazywanego partykularyzmem.

KRONIKA.

= Cesarz Wilhelm podczas pobytu w Kassel odezwał się do przedstawianego mu profesora: „A pamiętaj pan wpajać w młodzież przekonanie, że państwo niemieckie może tylko istnieć“ mając dobrą i silną flotę„. *Vorwärts* drwi sobie że teraz kredyty na marynarkę zapewne zostaną uchwalone, skoro oświadczą się za nimi gimnaziści.

= *Nowa Reforma* donosi, że w cytadeli warszawskiej zmarła, w 50 roku życia Eulalia Markiewiczówna. Więziono ją od kilku miesięcy, bez żadnych dowodów winy, jakkolwiek była mocno chorą. Ciało sprowadzono z cytadeli do kościoła św. Krzyża, skąd znowu odprowadził je na cmentarz liczny tłum, nie zwracający uwagi na obecność żandarmów i policyantów.

= Dwa duże majątki sprzedali w Poznańskiem Niemcom hr. Bniński i Chłapowski, obaj ludzie zamożni.

= Socyalistyczna *Gazeta robotnicza* opowiada, że w kolonii letniej, łaskawie urządzonej w Miłosławiu przez p. Kościelskiego dla dzieci polskich, wysyłanych na wakacye z Berlina, niemiłosiernie katowano te dzieci, zapewne dla rozbudzenia w nich przywiązania do ziemi ojczystej. *Dziennik berliński* zaznacza, że otrzymał również wiadomość o tym fakcie.

= W Berlinie założone zostało towarzystwo pod nazwą „Oświata“, mające na celu ułatwianie dzieciom polskim na obczyźnie nauki języka ojczystego i opiekowanie się polską młodzieżą szkolną.

= W Królewskiej Hucie na koncercie, urządzonym przez towarzystwo polskie, policya zabroniła grać chorału „Z dymem pożarów“.

= Pisma ugodowe, mówiąc o składkach na fundacyę imienia cara, zaznaczają z przekąsem, że Niemcy łódzcy dali tylko 100.000 rs. na tę lojalną manifestacyę. Takie wyliczanie, kto ile dał i pośrednie oskarżanie Niemców o brak uczuć wiernopoddańczych, pachnie mocno, a raczej śmierdzi denuncyacyą.

= Sejm Związku narodowego polskiego najsilniejszej dziś organizacyi naszej w Stanach Zjednoczonych, odbędzie się we wrześniu w Filadelfii. Podczas sejmu zwyczajem amerykańskim będzie urządzony t. zw. „dzień polski“ i w miejskiej Independance Hall zostaną zawieszone uroczyście portrety Kościuszki i Pułaskiego.

= W Czerniowcach powstało nowe stowarzyszenie polskie, p. n. *Gwiazda*, należą do niego rzemieślnicy.

Z drukarni W. A. Szyjkowskiego. Wydawca i odpowiedzialny redaktor dr. Ernest Adam.